MAGAZYN

164 mecze z orzełkiem na piersi. Michał Kubik zakończył karierę
– Str. 10-11

Część prochów z urny do grobu, a reszta na działkę, do jeziora, do lasu...
– Str. 12-13

Telemagazyn z programem telewizyjnym i zapowiedziami najciekawszych programów



Nr ISSN 0137-9526
Nr indeksu 348-570
9 770137 952053 46

www.gp24.pl

Nr 264 (6022) | Nakład: 9.326 | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

GŁOS POMORZA

DZIENNIK POMORZA

74 lata

ROZMOWA „GŁOSU"
Michał Wołos, historyk: Józef Piłsudski stał się polskim bohaterem narodowym podczas uwięzienia przez Niemców.

KRAJ
Nawrocki atakuje rząd. Prezydent w „formie". Święto, nie święto - on znowu atakuje rząd

Piątek, 13.11.2026

Relaks

Krzyżówki do kawy. Nowości w programie TV

Region

Słupsk i okolice szykują się do kolejnego finału WOSP

Ruszyły zapisy wolontariuszy na 35. finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Wc iąż są wolne miejsca, więc można się zgłaszać.
– Str. 3

Region

Miało być „czyste powietrze" a został wyczyszczony portfel

Warszawska firma, z którą nasza Czytelniczka podpisała umowę, miała przejąć 35 tys. dotacji. Teraz zostały same problemy
– Str.4

Pił piwo w czasie jazdy samochodem i miał dwa promile. 64-latkowi grożą spore problemy
– Str. 4

Urban został już osądzony?. Czy nasi piłkarze wybronią swojego selekcjonera?

– Str. 32



FOT. ARCHIWUM

Polska



FOT. MDP OSP BIELSKO-BIAŁA LESZCZYNY/ FB

Bohaterowie z Krakowa

Na oczach świata powstrzymali zamachowca z krakowskiego rynku
– Puls

Potęgowo

Powstanie centrum dystrybucyjne dużej polskiej sieci handlowej

Wojciech Frelichowski

Nawet 200 nowych miejsc pracy może powstać w wyniku inwestycji, którą zadeklarowała duża polska sieć handlowa.

Akty notarialne dotyczące sprzedaży działek w strefie przemysłowej w Potęgowie na rzecz spółek z Grupy Dino zostały właśnie podpisane. Inwestor nabywa łącznie prawie 20 hektarów gruntów, na których planowana jest budowa nowoczesnego centrum logistycznego wraz z niezbędną infrastrukturą oraz nowego obiektu handlowego. Jak informują przedstawiciele gminy Potęgowo, zgodnie z założeniami inwestora uruchomienie centrum logistycznego może oznaczać kilkaset nowych miejsc pracy.

– Podpisanie aktów notarialnych to zwieńczenie ponad trzyletniej pracy, rozmów i konsekwentnie realizowanych działań. Od samego początku zależało nam na tym, aby nasza strefa przemysłowa nie była jedynie terenem zapisanym w dokumentach planistycznych, ale rzeczywistym miejscem rozwoju przedsiębiorczości, powstawania nowych firm i miejsc pracy. Inwestycja Dino to szansa na około 200 miejsc pracy, dodatkowe wpływy podatkowe i dalszy rozwój gospodarczy naszej gminy – mówi Dawid Litwin, wójt Gminy Potęgowo.

eprasa.pl 951eddf438

POLECAMY

JUTRO: Gwiazdy: Krzysztof Ibisz i Bogumiła Wander. Tarnina – skarb polskiej przyrody

13.11.2026
Piątek

Dziś imieniny: Benedykt, Stanisław, Liwia, Wiktor, Alojzy
Telefon alarmowy: 112

GP24.pl GK24.pl GS24.pl

POLSKA PRESS GRUPA

Redaktor naczelny
Jarosław Jaz
Z-cy redaktora naczelnego
Marcin Stefanowski, Wojciech Frelichowski, Ynona Husaim-Sobecka
Wydawca
Ynona Husaim-Sobecka, Jarosław Jaz, Wojciech Frelichowski, Marcin Stefanowski, Piotr Polechoński
www.gp24.pl
www.gk24.pl
www.gs24.pl

Polska Press Makroregion Pomorze
Redakcja Słupsk, ul. Henryka Pobożnego 19, tel. 59 848 81 00, redakcja.gp24@polskapress.pl; Koszalin, ul. Partyzantów 17, tel. 94 347 35 52, redakcja.gk24@polskapress.pl; Szczecin, Al. Niepodległości 26/U1, tel. 91 481 33 00,redakcja.gs24@polskapress.pl,
Prezes Makroregionu Piotr Grabowski
Dyrektor reklamy Ewa Żelazko
Druk Polska Press Oddział Poligrafia, 85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Robert Feluś
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gp24.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Komentarz dnia



Krzysztof Cugowski: Permanentna kampania wyborcza

wokalista

Od pewnego czasu coś się w naszej rzeczywistości pozmieniało i żyjemy w permanentnej kampanii wyborczej. Kiedyś trwały kilka miesięcy przed wyborami, a teraz mamy z tym do czynienia na co dzień. Niestety! Każdy temat jest dobry, aby wszcząć zawieruchę. To jest o tyle smutne, że ten stan niczego nie powoduje i niczego nie zmienia.
Właściwie ludzie już się do tego przyzwyczaili. W związku z tym, kolejne wybory niczego u nich nie wywołują poza zmęczeniem i pewną rezygnacją. Coraz więcej osób nie chce brać w tym udziału. Oczywiście cały czas mówię o tych, którzy mają elementarne „pięć klepek".
To nie ma żadnego sensu, szczególnie, że przeniosło się na poziom prywatny. To jest niekończąca się totalna awantura i jest to przykre i męczące. Dla wszystkich. Mam nadzieję, że kiedyś się to skończy, bo jak na razie cały czas eskaluje. Wszystko świetnie się rozwija, ale to nie jest rozwój budujący tylko dzielący, a nawet powiedziałbym - niszczący.
Oczywiście podziały zawsze u nas były, ale nie na takim poziomie jak w tej chwili. To nie dotyczy tylko naszego kraju. Podobny podział jest w Stanach Zjednoczonych, w których jeszcze jakiś czas temu polityka tak nie interesowała przeciętnych ludzi. To jest fenomen komunikacji. To większe i poważniejsze zjawisko niż u nas. Następuje coraz większa eskalacja tego szaleństwa.
Do czego może doprowadzić taka dzika nienawiść? Bo skoro ktoś do kogoś strzela, robi to z nienawiści. W takim razie, jeżeli jakakolwiek polityka i jacykolwiek politycy wywołują u ludzi tego typu emocje, to już jest poważna sprawa.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj
„Głos Pomorza"
„Głos Koszaliński"
„Głos Szczeciński"

tel. 94 340 11 14
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.gp24.pl

POGODA

dziś
8°C/-1°C

jutro
7°C/-4°C

ROZMOWA

Historyk: Piłsudski stał się bohaterem narodowym podczas uwięzienia

Igor Rakowski-Kłos (PAP)

Piłsudski zyskiwał z każdym miesiącem uwięzienia, stając się bohaterem narodowym i ofiarą kolejnego zaborcy. Wcześniej próbowano przypiąć mu łatkę człowieka, który idzie z Niemcami przeciwko Rosji, współpracuje więc z innym okrutnym zaborcą - mówi prof. Mariusz Wołos, historyk.



FOT. INSTYTUT HISTORII I ARCHIWISTYKI

Mariusz Wołos: aby zerwać z państwami centralnymi Piłsudski sprawił, że legioniści odmówili przysięgi na wierność królowi .

Czy trwające przeszło rok uwięzienie w twierdzy magdeburskiej pomogło Józefowi Piłsudskiemu odegrać czołową rolę w kraju po 11 listopada 1918 roku?

Mariusz Wołos: Zdecydowanie tak. Wystarczy poczytać ówczesną polską prasę, wydawaną w Galicji czy pod okupacją niemiecką w Królestwie Polskim. Piłsudski zyskiwał z każdym miesiącem uwięzienia, stawał się bohaterem narodowym i ofiarą kolejnego zaborcy. Wcześniej próbowano przypiąć mu łatkę człowieka, który idzie z Niemcami przeciwko Rosji, współpracuje więc z innym okrutnym zaborcą. Tymczasem ci sami Niemcy aresztowali go i brutalnie potraktowali.

Dlaczego Piłsudski został uwięziony?

Przez długi czas sam tego nie wiedział. W pismach kierowanych do władz niemieckich czy Rady Regencyjnej na ręce regenta księcia Zdzisława Lubomirskiego prosił o przedstawienie konkretnych zarzutów. Nigdy bowiem nie stanął przed sądem ani nie został formalnie oskarżony. Kiedy aresztowano go nad ranem 22 lipca 1917 roku, przypuszczał, że może doszło do jakiegoś wydarzenia z udziałem wiernych mu legionistów, o którym nie zdążył się dowiedzieć. Już w Magdeburgu w dostarczanej mu prasie niemieckiej zaczął czytać niewiarygodne oskarżenia o rzekome fałszowanie przez niego dokumentów podróży. Potem pojawiły się spekulacje dotyczące działań Polskiej Organizacji Wojskowej, które uznawano za antyniemieckie i antyaustriackie. Wreszcie Piłsudski doszedł do słusznego wniosku, że Niemcy trzymają go w więzieniu za tak zwane przestępstwo stanu, cokolwiek miałoby to znaczyć. Dzisiaj doskonale wiemy, dlaczego został aresztowany: doprowadził do kryzysu przysięgowego. Aby zerwać z państwami centralnymi, które niewiele robiły dla sprawy polskiej, sprowokował sytuację, w której legioniści odmówili przysięgi na wierność królowi polskiemu, ponieważ nie wiedzieli, kto nim będzie. Niemcy uznali te działania za bunt przeciwko władzy, która z ich punktu widzenia miała prawo kierować tymi oddziałami. Kryzys przysięgowy jest więc piękną kartą i przykładem dobrze przemyślanego działania politycznego. Obyło się bez rozlewu krwi.

Rozważano również inne sposoby zerwania sojuszu politycznego, w którym tkwiły Legiony i środowisko piłsudczykowskie: zamach stanu, marsz na Warszawę, proklamowanie rządu. Dlaczego odrzucił te scenariusze?

Bo były szaleńcze. Niemcy byli wówczas potęgą we wschodniej Europie. Okupowali północną część Królestwa Polskiego, mieli tutaj swoje oddziały. Mogli przerzucić do Warszawy większe siły z innych części okupowanego Królestwa, a nawet ściągnąć jednostki z frontu wschodniego i zdławić bunt. Realizacja tych planów skończyłaby się utopieniem tej garstki idących za nim ludzi w morzu krwi.

Co wiemy o warunkach, w jakich Piłsudski był przetrzymywany w Magdeburgu?

Nie były złe. Skarżył się przede wszystkim na samotność i ograniczenie kontaktu ze światem zewnętrznym. Mając doświadczenie rosyjskich więzień, podkreślał w pismach do władz niemieckich i Rady Regencyjnej, że odosobnienie jest dodatkową szykaną. Miał zapewnione odpowiednie wyżywienie.

Czy warunki zmieniały się wraz z upływem czasu?

Największe szykany trwały rok. Kiedy sytuacja państw centralnych na frontach zaczęła się pogarszać, Niemcy złagodzili rygor więzienny. Przejawem tego było umieszczenie w tym samym pawilonie Kazimierza Sosnkowskiego, najbliższego współpracownika z I Brygady Legionów. Nie wszystkie ograniczenia jednak zniesiono. Kiedy w październiku 1918 roku działacze Polskiej Organizacji Wojskowej próbowali skontaktować się z Piłsudskim, odmawiano im tego. Ogólnie warunki nie były tragiczne, nie było to opresyjne więzienie o zaostrzonym rygorze. Niemniej dla człowieka, który miał już 50 lat i wiele trudnych doświadczeń za sobą, pobyt tam był uciążliwy.

Rozmowa: PAP

eprasa.pl 951eddf438

AKCJE CHARYTATYWNE

Region słupski szykuje się do 35. Finału WOŚP. Ruszyły rejestracje wolontariuszy

Patryk Czerwiński

Ruszyły zapisy wolontariuszy oraz firmowych puszek stacjonarnych na 35. Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, zaplanowany na 31 stycznia 2027 roku na rzecz neonatologii. Słupski sztab przygotował 220 miejsc dla kwestujących. Nabór prowadzą też m.in. sztaby w Ustce i gminie Redzikowo, a zgłoszenia przyjmowane są wyłącznie online.

Lokalne sztaby Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w Słupsku i okolicznych gminach oficjalnie rozpoczęły przygotowania do 35. Finału, który odbędzie się w niedzielę 31 stycznia 2027 roku pod hasłem „Dzisiaj? Zdrowie noworodka najważniejsze!". W nadchodzącej edycji Orkiestra zagra na rzecz wsparcia oddziałów neonatologicznych i zakupu specjalistycznego sprzętu medycznego dla najmłodszych pacjentów. Rejestracja kwestujących oraz firmowych puszek odbywa się wyłącznie drogą elektroniczną.



FOT. ŁUKASZ CAPAR

Oprócz Słupska, Ustki oraz Gminy Redzikowo zarejestrowane są już kolejne regionalne jednostki.

Pula miejsc dla kwestujących w mieście wynosi 220, a organizatorzy zamierzają dodatkowo rozlokować 90 puszek stacjonarnych w firmach, instytucjach, szkołach i przedszkolach. Rekrutacja ma potrwać do połowy grudnia, a po wysłaniu zgłoszenia internetowego sztab kontaktuje się z kandydatami w celu weryfikacji danych.

- Bardzo bym prosiła, żeby osoby, które są zdecydowane, zarejestrowały się już dziś. Chciałabym zakończyć rejestrację do połowy grudnia. Miejsc mamy 220 i już część z tych miejsc jest zajęta, więc bardzo proszę o pośpiech. Chciałabym również przypomnieć, że 31 stycznia przypada na pierwszy weekend naszych ferii zimowych, dlatego zapraszam osoby, które wiedzą, że nie będą wyjeżdżały, bądź mogą przesunąć swoje plany feryjne i na pewno tego 31 stycznia z nami będą – apeluje Aleksandra Karnicka, szefowa słupskiego sztabu nr 6359.

Gotowość do działania zgłosił już sztab nr 533 prowadzony przez Dom Kultury w Ustce, gdzie również ruszyła rejestracja elektroniczna dla osób chcących wspomóc inicjatywę.

- Sztab jest zarejestrowany. Szukamy wolontariuszy. Wolontariusze się sami rejestrują elektronicznie. Jeszcze nie ma dużo wolontariuszy, ale powoli wszystko rusza, bo niedawno sztab został zarejestrowany. Wszystko jak co roku tak się u nas odbywa – informują przedstawiciele usteckiego Domu Kultury.

Do zbiórki przygotowuje się również Sztab nr 8542 przy Centrum Kultury i Bibliotece Publicznej Gminy Redzikowo, którym kieruje Zuzanna Gałkin. Nabór wolontariuszy potrwa tam do 31 grudnia 2026 roku, natomiast przedsiębiorcy oraz lokalne instytucje mogą zgłaszać chęć ustawienia firmowych puszek stacjonarnych aż do 29 stycznia 2027 roku.

- Zachęcamy lokalnych przedsiębiorców, sklepy, punkty usługowe oraz instytucje działające na terenie Gminy Redzikowo do włączenia się w tegoroczną zbiórkę poprzez ustawienie Firmowych Puszek Stacjonarnych. To sposób na wsparcie Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy jeszcze przed dniem finału. Dzięki puszkom stacjonarnym mieszkańcy mogą przekazywać datki podczas codziennych zakupów czy korzystania z usług lokalnych przedsiębiorców – zachęca Zuzanna Gałkin, szef sztabu w gminie Redzikowo.

REGION

Miało być „Czyste Powietrze", a jest wyczyszczony portfel

Wojciech Lesner

Warszawska firma przejąć miała 35 tysięcy złotych dotacji z programu „Czyste Powietrze" i nie wykonała prac, zostawiając mieszkankę powiatu słupskiego z długiem wobec WFOŚiGW.

Mimo zgłoszenia sprawy do prokuratury, fundusz żąda zwrotu pieniędzy z odsetkami, a słupski rzecznik konsumentów radzi dokładnie weryfikować kontrahentów. Jak twierdzi mieszkanka powiatu słupskiego, podpisała ona pełnomocnictwo i umowę z firmą ECO4PLANET z Warszawy w ramach programu „Czyste Powietrze". Próbowaliśmy skontaktować się z tą firmą, jednak telefon podany na stronie jest wyłączony. Po tym, jak na konto firmy wpłynęła pierwsza transza dofinansowania w wysokości 35 tysięcy złotych, kontakt miał się całkowicie urwać, a prace modernizacyjne nie zostały rozpoczęte. Choć od zawarcia umowy minęły dwa lata, a sprawa trafiła do prokuratury, Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska żądać ma od poszkodowanej zwrotu całej kwoty wraz z odsetkami, dając zaledwie kilkanaście dni na spłatę pod rygorem skierowania sprawy do sądu i komornika.

Zbigniew Perzyna, Miejski Rzecznik Konsumentów w Słupsku, wskazuje, że podstawą ochrony przed nieuczciwymi firmami, zarówno przy programach dotacyjnych, jak i zakupach na odległość, jest dokładna weryfikacja kontrahenta.

- Jeżeli robimy zakupy na odległość, przede wszystkim musimy sprawdzić regulamin. Teraz należy zwrócić uwagę czy w tym regulaminie jest nazwa firmy, telefon, KRS lub Regon - ostrzega Zbigniew Perzyna.



FOT. ARCHIWUM

Podstawą ochrony jest weryfikacja kontrahenta.

REKLAMA 0111607602

AUTOMATYCZNA PRALNIA DYWANÓW

- TRZEPANIE MECHANICZNE
- PRANIE AUTOMATYCZNE
- PŁUKANIE
- WIROWANIE
- SUSZENIE
- OZONOWANIE
- TRANSPORT OD / DO KLIENTA

PUNKT PRZYJĘĆ:
SŁUPSK
UL. PRZEMYSŁOWA 34b
(SERWIS KÄRCHER)
504 710 352
602 442 117

www.pralniadywanow-slupsk.pl

eprasa.pl 951eddf438

ZDROWIE

Dwa oblicza słupskiego SOR-u. Mieszkańcy skarżą się na kolejki, ale bronią personelu

Patryk Czerwiński

Działalność Szpitalnego Oddziału Ratunkowego w Słupsku budzi skrajne opinie wśród mieszkańców regionu. Część pacjentów narzeka na wielogodzinne kolejki, brak specjalistów oraz opryskliwość personelu. Przytacza na dowód dramatyczne historie. Inni bronią medyków, wskazując na sprawną diagnostykę i skuteczny triaż.



FOT. ŁUKASZ CAPAR

Mimo tysięcy obsłużonych chorych, w 2026 roku do pełnomocnika ds. pacjentów wpłynęło oficjalnie zaledwie 15 skarg dotyczących funkcjonowania SOR-u.

Szpitalny Oddział Ratunkowy Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego im. Janusza Korczaka w Słupsku od lat jest na językach mieszkańców. Wśród argumentacji nie brakuje ostrych zarzutów dotyczących wielogodzinnego oczekiwania na pomoc, lekceważącego podejścia części kadry czy błędów organizacyjnych. Z drugiej strony pojawiają się głosy pacjentów, którzy chwalą sprawną diagnostykę i zaangażowanie medyków w stanach zagrożenia życia, a sam szpital przedstawia dane statystyczne mające dowodzić skuteczności działania oddziału.

Najczęściej powtarzającymi się zarzutami są długi czas oczekiwania na przyjęcie oraz postawa personelu i to już na etapie rejestracji. Pacjenci zwracają uwagę, że nikt nie pojawia się na oddziale ratunkowym bez powodu.

- Panie, które pracują w rejestracji, są bardzo niemiłe. Przyszłam na SOR ze skierowaniem pilnym na przyjęcie na oddział na już, na co Panie pytają co mi jest. Tłumaczę, że lekarz stwierdził to i to i zalecił pilnie zgłosić się na oddział. Na co panie ponownie pytają: ale z czym pani przychodzi, co pani dolega? Powinnam się tam przewrócić, żeby nie zadawały takich pytań? Zresztą ich rozmowa w stosunku do mnie i niepotrzebne komentarze dają wiele do myślenia - relacjonuje pani Natalia.

Mieszkańcy opisują również sytuacje, w których z powodu braku dostępnego specjalisty - na przykład okulisty po godzinie 15 - musieli na własną rękę szukać ratunku w Koszalinie albo decydowali się na wyjazd do placówek w Lęborku lub Gdańsku. Wśród relacji pojawiają się skargi na powolne działanie przy wysokiej gorączce u małych dzieci czy brak właściwej opieki nad starszymi pacjentami po urazach ortopedycznych.

Najbardziej dramatyczne świadectwa dotyczą przypadków, w których walka toczyła się o życie. Pani Krystyna opisuje zdarzenie z końca grudnia 2025 roku, kiedy jej mąż z potwornym bólem w klatce piersiowej i ciśnieniem 210/120 został przetransportowany do Słupska zamiast do bliższego Lęborka, a po kilku godzinach zmarł z powodu rozwarstwiającego tętniaka aorty.

- Po kilku dniach dowiaduję się od pielęgniarki, która wówczas miała dyżur, że mąż leżał na korytarzu, krzyczał z bólu, a oni podali mu zwykłe środki przeciwbólowe i dopiero jak nastąpiło nagłe zatrzymanie krążenia zareagowali. Ale było za późno. Gdyby zareagowali natychmiast byłaby szansa na uratowanie - pisze zrozpaczona wdowa.

Mąż jednej z pacjentek po trzech godzinach, przestał liczyć ile czekają. Dodał też, że kiedy zadał lekarzowi pytanie, ten zamknął przed nim drzwi, nie udzielając odpowiedzi

Obok fali krytyki w przestrzeni publicznej wybrzmiewa jednak wyraźny głos pacjentów zadowolonych z opieki na słupskim SOR-ze. Osoby te podkreślają, że kluczowe dla zrozumienia pracy oddziału jest pojęcie triażu, czyli segregacji medycznej, w ramach której w pierwszej kolejności ratowani są pacjenci w stanie bezpośredniego zagrożenia życia. Zwracają uwagę, że wiele osób blokuje kolejki z dolegliwościami, które powinny być leczone w podstawowej opiece zdrowotnej lub w ramach nocnej i świątecznej opieki lekarskiej.

Z danych przedstawionych przez placówkę za 2026 rok wynika, że każdego dnia na słupski SOR trafia znacznie ponad stu pacjentów. Średnia dzienna wahała się od 116,6 osób w styczniu do niemal 150 osób w szczycie sezonu letniego w lipcu.

- Średni czas oczekiwania pacjenta od pobrania numerku do rejestracji wynosi 4 minuty 57 sekund. Średni czas oczekiwania na kontakt z personelem medycznym wynosi 7 minut 16 sekund - informuje Marcin Prusak, rzecznik prasowy Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Słupsku.

REGION

Pił piwo w trakcie jazdy i miał dwa promile. 64-latkowi grozi do 3 lat więzienia

Patryk Czerwiński

Mężczyzna jechał całą szerokością jezdni i podczas prowadzenia auta popijał piwo. Interweniująca policja ustaliła dodatkowo, że nie posiadał on prawa jazdy, a jego pojazd nie miał ważnej polisy OC. Za jazdę w stanie nietrzeźwości grozi mu teraz kara do 3 lat więzienia.



FOT. UARCHIWUM

Mężczyźnie grozi do 3 lat pozbawienia wolności, wysoka grzywna oraz wieloletni zakaz prowadzenia pojazdów.

Nieodpowiedzialnością wykazał się 64-letni kierowca zatrzymany przez policjantów w rejonie Wołczy Wielkiej w gminie Miastko. Mężczyzna, mając w organizmie ponad dwa promile alkoholu, prowadził samochód, pijąc przy tym piwo. Jego niebezpieczną podróż przerwała reakcja uczestniczki ruchu drogowego. Inny kierowca zwrócił uwagę na pojazd poruszający się całą szerokością drogi. Sposób w jaki prowadził pojazd wskazywał, że może być nietrzeźwy. Kobieta wyprzedziła go, aby zmusić pijanego do zatrzymania. W trakcie mijania samochodu dostrzegła, że siedzący za kierownicą mężczyzna bez skrępowania popija piwo.

Zanim świadkowi udało się zablokować drogę, 64-latek zjechał na teren jednej z pobliskich posesji, skąd kobieta natychmiast powiadomiła służby. Skierowany na miejsce patrol zastał mężczyznę wciąż siedzącego na fotelu kierowcy. Przeprowadzone badanie alkomatem wykazało w jego organizmie ponad dwa promile alkoholu. Podczas weryfikacji danych okazało się, że jazda pod wpływem alkoholu to nie jedyne przewinienie 64-latka.

AUTOREKLAMA

Nekrologi

zamówisz tutaj:
Słupsk, ul. Henryka Pobożnego 19, 59 848 81 03
reklama.slupsk@polskapress.pl

0011612173

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”
ks. Jan Twardowski

Pani
Sabinie Krawiec
dyrektor Centrum Usług Społecznych Gminy Redzikowo

wyrazy współczucia z powodu śmierci Ukochanej

Mamy

składają
Dyrekcja i Pracownicy
Centrum Kultury i Biblioteki Publicznej Gminy Redzikowo

eprasa.pl 951eddf438

PRAWO

Opakowania grozy! Przepisy uderzają w małe firmy

Adam Willma

Obowiązuje już unijne rozporządzenie PPWR dotyczące opakowań i odpadów opakowaniowych. Dla małych firm sprzedających towary do kilku państw UE nowe zasady oznaczają absurdalną biurokrację i ogromne koszty.

PPWR dotyczy niemal każdego opakowania trafiającego na unijny rynek - pudełka, słoika, kartonu wysyłkowego, a nawet, folii i taśmy, nie wspominając o wypełnieniu paczki czy palecie. Z nowymi przepisami muszą liczyć się także sklepy internetowe, niewielcy producenci, rękodzielnicy i jednoosobowe firmy wysyłające towary za granicę.

Polska firma sprzedająca bezpośrednio klientom w innych krajach UE będzie musiała sprawdzić, jakie obowiązki dotyczą opakowań na każdym z tych rynków. Niestety polskie BDO (baza danych o produktach i opakowaniach oraz o gospodarce odpadami) nie załatwia wszystkich formalności za granicą. W zależności od państwa i sposobu sprzedaży potrzebna może być rejestracja w miejscowym systemie, ewidencja liczby wprowadzanych opakowań, składanie sprawozdań oraz rozliczanie kosztów ich późniejszego zagospodarowania.

Co to oznacza w praktyce?

Mały sklep może zarobić w danym kraju kilkaset złotych rocznie, ale jednocześnie ponosić stałe koszty związane z obsługą tamtejszego systemu. Najdroższa będzie konieczność korzystania z przedstawiciela działającego w innym państwie, jaka rysuje się w dalszej perspektywie. Stawki oferowane na rynku sięgają około 1000 euro rocznie za jeden kraj. Dla małych firm jedynym rozwiązaniem będzie więc zapewne wykreślenie części państw z listy krajów, do których wysyłają towary. To samo może spotkać polskich klientów, którzy będą chcieli zamówić towary z innych krajów.

To unijne rozporządzenie, dlatego jego stosowanie nie czeka na uchwalenie polskiej ustawy. Jednocześnie trwają prace nad krajowymi przepisami, które mają określić m.in. kompetencje organów kontrolnych oraz sankcje za naruszenia. Państwa UE mają czas na przygotowanie przepisów dotyczących kar do 12 lutego 2027. Brak listy kar nie oznacza jednak braku konsekwencji prawnych. Niezgodne opakowanie może zostać wycofane z rynku, jego sprzedaż może zostać ograniczona.

Sprzedawca będzie musiał umieć wskazać, kto odpowiada za konkretne opakowanie, z czego zostało wykonane oraz na jakiej podstawie uznano, że spełnia obowiązujące wymagania. Dlatego będzie musiał mieć wgląd w deklarację zgodności, dokumentację techniczną oraz informacje od dostawców materiałów. Dokumenty muszą dotyczyć faktycznie używanego opakowania, a nie tylko podobnego produktu dostępnego w katalogu producenta.

Firmy importujące towary spoza UE muszą dodatkowo sprawdzić dokumentację opakowań dostarczanych przez zagranicznych kontrahentów.

Od sierpnia obowiązują również ograniczenia dotyczące zawartości PFAS w opakowaniach przeznaczonych do kontaktu z żywnością. Substancje te mogą być wykorzystywane m.in. w materiałach odpornych na tłuszcz i wilgoć. Producent lub sprzedawca korzystający z takich opakowań powinien mieć dokumenty potwierdzające, że nie przekraczają one dopuszczalnych poziomów. Samo zapewnienie dostawcy, że opakowanie nadaje się do żywności, może nie wystarczyć.

W kolejnych latach pojawią się kolejne wymagania dotyczące oznakowania, możliwości recyklingu i udziału surowców pochodzących z recyklingu. Od 2030 ograniczona ma zostać również ilość pustej przestrzeni w części opakowań transportowych, zbiorczych i stosowanych w handlu internetowym. Przy obliczaniu wolnego miejsca znaczenie będą miały także stosowane w paczkach wypełniacze. Firmy produkujące towary na dużą skalę będą musiały zmieniać projekty opakowań i procesy produkcyjne.

Mniejsi sprzedawcy będą musieli policzyć, czy sprzedaż kilku lub kilkunastu przesyłek rocznie do danego państwa pokryje koszty związane z wszystkimi formalnościami. ©℗



FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

Nowe zasady oznaczają absurdalną biurokrację i ogromne koszty

REKLAMA 0011603383



eprasa.pl 951eddf438

ŚWIADCZENIA

Kiedy seniorowi należy się renta rodzinna z ZUS po zmarłym członku rodziny? Wyjaśniamy

Przyznanie renty rodzinnej uzależnione jest od spełnienia określonych warunków, które dotyczą zarówno osoby zmarłej, jak i współmałżonka ubiegającego się o to świadczenie. Podpowiadamy, jakie dokumenty należy przygotować do ZUS

Małgorzata Stempinska



FOT. FREEPIK.COM

Najniższa wypłacana renta rodzinna wynosi 1978,49 zł brutto, czyli tyle, co minimalna emerytura. Kwota ta obowiązuje do 28 lutego 2027 roku. Po przyszłorocznej waloryzacji będzie wyższa

Renta rodzinna przysługuje po śmierci osoby, która spełniała jeden z poniższych warunków:

- miała ustalone prawo do wypłacanej przez ZUS emerytury, w tym emerytury pomostowej albo renty z tytułu niezdolności do pracy, albo spełniałaby warunki do uzyskania takiego świadczenia, gdyby żyła. Przy ocenie prawa do renty, która mogłaby przysługiwać zmarłej osobie, przyjmuje się, że była ona osobą całkowicie niezdolną do pracy.
- pobierała z ZUS zasiłek przedemerytalny albo świadczenie przedemerytalne albo nauczycielskie świadczenie kompensacyjne.

Kiedy seniorowi należy się renta rodzinna?

Prawo do renty rodzinnej przysługuje małżonkowi (wdowie, wdowcowi), który do dnia śmierci pozostawał w związku małżeńskim z osobą zmarłą i spełniał określone warunki tj.:

- w chwili śmierci małżonka ukończył 50. rok życia lub był niezdolny do pracy albo – wychowuje co najmniej jedno z dzieci, wnuków lub rodzeństwa, które są uprawnione do renty rodzinnej po zmarłym małżonku i nie ukończyły 16. roku życia, a jeśli uczą się w szkole – 18. roku życia, lub sprawuje pieczę nad dzieckiem całkowicie niezdolnym do pracy oraz do samodzielnej egzystencji lub całkowicie niezdolnym do pracy, które jest uprawnione do renty rodzinnej,
- osiągnął wiek 50 lat lub stał się niezdolny do pracy po śmierci współmałżonka, nie później niż w ciągu 5 lat od jego śmierci lub od zaprzestania wychowywania dzieci, o których mowa powyżej.

- Osoba owdowiała, która nie spełnia tych warunków i nie dysponuje wystarczającym źródłem utrzymania, ma prawo do renty rodzinnej przez rok od dnia śmierci współmałżonka lub przez czas trwania nauki w celu uzyskania kwalifikacji do pracy zarobkowej, jednak nie dłużej niż przez dwa lata od momentu śmierci współmałżonka - zaznacza Krystyna Michałek, regionalny rzecznik ZUS województwa kujawsko-pomorskiego.

Renta rodzinna przysługuje także rozwiedzionym małżonkom, a także wdowom i wdowcom, którzy w chwili śmierci współmałżonka nie pozostawali z nim we wspólności małżeńskiej.

Osoba, która była rozwiedziona z osobą zmarłą, albo osoba owdowiała, która w chwili śmierci współmałżonka nie pozostawała z nim we wspólności małżeńskiej, ma prawo do renty rodzinnej, o ile spełnia warunki jak dla wdowy i w dniu śmierci współmałżonka miała prawo do alimentów z jego strony ustalone wyrokiem lub ugodą sądową. Prawo do renty rodzinnej przysługuje również rozwiedzionej małżonce lub pozostającej w separacji (nawet bez wyroku lub ugody sądowej), pod warunkiem że udowodni, iż otrzymywała alimenty na podstawie porozumienia (przepis ten nie dotyczy mężczyzn).

Ile wynosi renta rodzinna?

Kwota świadczenia różni się w zależności od liczby osób uprawnionych do jej pobierania i wynosi:

- dla jednej osoby uprawnionej - 85 proc. świadczenia, które przysługiwało albo przysługiwałoby zmarłemu,
- dla dwóch osób uprawnionych - 90 proc. świadczenia, które przysługiwało albo przysługiwałoby zmarłemu,
- dla trzech osób lub większej liczby uprawnionych - 95 proc. świadczenia, które przysługiwało albo przysługiwałoby zmarłemu.

Wszystkim uprawnionym członkom rodziny przysługuje jedna łączna renta rodzinna, dzielona na równe części między te osoby.

Najniższa wypłacana renta rodzinna wynosi 1978,49 zł brutto, czyli tyle, co minimalna emerytura. Kwota ta obowiązuje do 28 lutego 2027 roku.

Jak uzyskać rentę rodzinną?

Aby ZUS mógł przeprowadzić postępowanie i przyznać świadczenie (lub odmówić jego przyznania), konieczne jest złożenie wniosku (druk ERR). Formularz może złożyć osoba ubiegająca się o rentę lub jej przedstawiciel ustawowy, np. opiekun prawny lub pełnomocnik. Dokumenty niezbędne do ustalenia prawa do renty są różne w zależności od tego, który członek rodziny osoby zmarłej ubiega się o rentę rodzinną:

- dokument potwierdzający datę urodzenia wnioskodawcy,
- dokument potwierdzający datę urodzenia i datę zgonu osoby, po której ma być przyznana renta,
- dokument potwierdzający stopień pokrewieństwa (powinowactwa) z osobą zmarłą,
- odpis skrócony aktu małżeństwa, jeżeli o rentę ubiega się wdowa lub wdowiec albo małżonka – małżonek pozostający w separacji lub rozwiedziony,
- zaświadczenie o stanie zdrowia dziecka albo wdowy lub wdowca, wystawione przez lekarza prowadzącego leczenie, jeżeli przyznanie renty uzależnione jest od ustalenia niezdolności do pracy,
- zaświadczenie o uczęszczaniu do szkoły, jeżeli dziecko ukończyło 16 lat,
- dokument potwierdzający prawo w dniu śmierci osoby zmarłej do alimentów z jej strony, ustalonych wyrokiem sądu lub ugodą sądową,
- dokument potwierdzający istnienie obowiązku alimentacyjnego z mocy prawa, jeżeli rozwiedziona lub pozostająca w separacji małżonka nie miała ustalonych alimentów wyrokiem lub ugodą sądową.

Do wniosku o rentę rodzinną po osobie, która nie miała ustalonego prawa do świadczenia – oprócz dokumentów wskazanych powyżej, należy dołączyć:

- informację dotyczącą okresów składkowych i nieskładkowych zmarłego (druk ERP-6),
- oryginalne dokumenty potwierdzające okresy składkowe i nieskładkowe osoby zmarłej, m.in.: świadectwa pracy, zaświadczenia, legitymację ubezpieczeniową, dokument potwierdzający ukończenie studiów i programowy tok ich trwania, odpisy aktów urodzenia dzieci – jeśli osoba zmarła korzystała z urlopu wychowawczego lub bezpłatnego w celu sprawowania opieki nad dziećmi,
- dokumenty potwierdzające wysokość wynagrodzenia osoby zmarłej (np. zaświadczenie pracodawcy lub innego płatnika składek o zatrudnieniu i wysokości wynagrodzenia – może być złożone na druku ERP-7, legitymację ubezpieczeniową zawierającą odpowiednie wpisy), aby ustalić podstawę wymiaru emerytury, renty z tytułu niezdolności do pracy lub kapitału początkowego osoby zmarłej,
- zaświadczenie płatnika składek osoby zmarłej o okresach pracy w szczególnych warunkach lub o szczególnym charakterze. ©℗

REKLAMA 0011612280

Burmistrz Miastka

stosownie do art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 roku o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz.U. z 2026 r., poz. 399)

informuje,

że na tablicach ogłoszeń tut. urzędu oraz na stronie http://www.bip.miastko.pl/ zamieszczone zostały na okres 21 dni wykazy nieruchomości przeznaczonych do dzierżawy, stanowiących:

- część działki położonej w obr. Słosinko, gm. Miastko, oznaczonej nr 217/6 o pow. 32 m² na cele garażowe,
- część działki położonej w obr. Słosinko, gm. Miastko, oznaczonej nr 217/6 o pow. 150 m² na cele upraw warzywniczych,
- część działki położonej w obr. Słosinko, gm. Miastko, oznaczonej nr 208/3 o pow. 250 m² na cele upraw warzywniczych.

eprasa.pl 951eddf438

FOKUS

• **Sondaż:** 44 proc. badanych chciałoby, by na polskiej scenie politycznej pojawiła się nowa partia lub siła polityczna

POLITYKA

Prezydent w formie. Znowu atakuje rząd. Święto, nie święto – przyłożyć trzeba

Karol Nawrocki nie przepuści żadnej okazji, żeby nie zaatakować rządu. Tak było również podczas Święta Niepodległości. Tym razem najbardziej dostało się ministrowi finansów

Dorota Kowalska



FOT. PRZEMYSŁAW PIĄTKOWSKI

– Do upadku Rzeczpospolitej doprowadziło coś, co było zaprzeczeniem wolności, choć wolność miało w nazwie – mówił prezydent Nawrocki

To był największy od lat Marsz Niepodległości. Tysiące osób przeszło ulicami Warszawy. Było spokojnie. Wszyscy wciąż mają w pamięci tragiczne wydarzenia w Krakowie. Ale podczas Święta Niepodległości, które powinno łączyć, nie zabrakło polityki.

Karol Nawrocki, zwracając się do funkcjonariuszy KAS, wspomniał, że w tej formacji przez lata służyła jego żona. Potem skrytykował obecnego na Placu Józefa Piłsudskiego Andrzeja Domańskiego. – Wiem, uśmiechając się do ministra Domańskiego, że wasza praca nie ma nic wspólnego z niechlubnymi decyzjami, fatalną sytuacją polskich finansów publicznych i pracą ministra Domańskiego – powiedział prezydent. Następnie zwrócił się bezpośrednio do zaatakowanego. – Pana ministra Domańskiego chciałem prosić o lepszą pracę dla Rzeczypospolitej Polskiej – dodał.

Po prezydencie głos zabrał szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. On z kolei mówił o rozwoju Polski, sukcesie związanym z budową centrum serwisowania rakiet do systemów Patriot, swojej niedawnej wizycie w USA oraz zielonym świetle z Pentagonu dla budowy stałej bazy amerykańskiej w Polsce. Szef MON wspomniał też o zaproszeniu naszego kraju do grupy G20. To wszystko, jak zauważył Kosiniak-Kamysz, „świadczy o tym, że z gospodarką Polski nie jest tak źle".

– A minister Domański jest tym ministrem, który w historii zbudował budżet największy dla polskiej armii, za co mu bardzo dziękuję. Więc nie taki ten Domański straszny – podsumował wicepremier.

Podczas przemówienia Kosiniaka-Kamysza słychać było gwizdy, ale na Placu Piłsudskiego byli także przedstawiciele klubów „Gazety Polskiej" i NSZZ „Solidarność". Przed samym placem rozstawiona została scena Telewizji Republika. Kosiniak-Kamysz buczenia się nie przestraszył; stwierdził, że „ten rytualny krzyk, który na każdych tego typu uroczystościach pojawia się", ilekroć ma okazję przemawiać, nie budzi w nim „ani lęku, ani gniewu".

Szef MON nawiązywał też do innej wypowiedzi prezydenta z tej samej uroczystości. Karol Nawrocki podczas swego przemówienia przestrzegał, że „musimy pamiętać o błędach, które doprowadziły do upadku pierwszej Rzeczpospolitej". – Drogę do tego upadku torowała walka elit magnackich i politycznych – stwierdził Nawrocki. I mówił dalej, że „konflikt elit politycznych prowadził do tego, że nawet jak wybrany z wolnej elekcji polski król (...) nie zgadzał się z elitami magnackimi, to wytaczały mu one wojnę totalną". Jak dodał, te elity „oglądały się na obce stolice i państwa – Berlin, Moskwę, dopuszczając obce mocarstwa i obce stolice do tego, by miały wpływ na Rzeczpospolitą".

– Do upadku Rzeczpospolitej doprowadziło coś, co było zaprzeczeniem wolności, choć wolność miało w nazwie i tym czymś było „liberum veto" – oświadczył prezydent.

– Nadużywanie, przekraczanie tej granicy i wykorzystywanie na oślep, bez pamięci. Niech ta lekcja przeszłości nie będzie przez nas po raz kolejny odrabiana – odpowiedział przedmówcy Kosiniak-Kamysz, pewnie nawiązując do wetowania ustaw przez Karola Nawrockiego, bo prezydent jest tu niekwestionowanym liderem.

Wystąpienie Karola Nawrockiego szeroko komentowano w sieci.

„Szkoda, że nawet dziś prezydent nie potrafił odróżnić święta od konwencji partyjnej" – napisał Ryszard Petru, poseł Centrum. Poseł Lewicy Tomasz Trela napisał: „Zero klasy i taktu! Żenujący facet!".

„Zamiast jednoczyć Polaków w Święto Niepodległości, Nawrocki robi z niego wiec polityczny. Wstyd, że narodowe święto stało się narzędziem propagandy" – to z kolei wpis europosła Koalicji Obywatelskiej Dariusza Jońskiego.

„Nigdy nie sądziłem, że zatęsknię za krzykiem Dudy. Przy Nawrockim to był niewinny szept. Jak tak dalej pójdzie, prezydent będzie miał ksywkę »megafon«" - zauważył poseł KO Robert Kropiwnicki.

Politycy związani z prawicą chwalili wystąpienie Nawrockiego.

„Prezydent Polski nigdy nie pozwoli na to, abyśmy stali się papugą narodów powtarzających to, co przychodzi z Zachodu. Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy! – to nasze zobowiązanie" – napisał szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki. Dla posła PiS Piotra Glińskiego to było „arcypolskie przemówienie Prezydenta RP Karola Nawrockiego".

Do wystąpienia Karola Nawrockiego odniósł się także premier Donald Tusk. „Chociaż w tym jednym dniu mógł próbować Polaków nie dzielić, a łączyć. Szkoda" – napisał.

Karol Nawrocki przemawiał po wystąpieniu premiera Donalda Tuska, który spędził Narodowe Święto Niepodległości w Szczecinie. Wziął tam udział w uroczystości chrztu i podniesienia bandery na nowym promie pasażersko-samochodowym „Bursztyn Unity".

Premier właśnie w Szczecinie wyszedł do Karola Nawrockiego z propozycją spotkania. – Panie prezydencie, mieliśmy się spotkać. Trochę czekałem na to zaproszenie, ale od serca, nie czekając dłużej, chcę zaprosić pana, razem z małżonką, z rodziną, dziećmi do mnie do domu w Sopocie – powiedział premier. I dodał, że to zaproszenie do „podzielenia się opłatkiem przed Wigilią".

– Porozmawiajmy. Moje mieszkanie nieduże, ale znajdzie się dla nas miejsce w kuchni przy stole i porozmawiamy, jak to się kiedyś mówiło, jak Polak z Polakiem. Polska warta jest naszej rozmowy – stwierdził Donald Tusk.

Pierwszej odpowiedzi doczekał się podczas wystąpienia Karola Nawrockiego, które na pewno nie było koncyliacyjne. Oficjalne stanowisko Pałacu Prezydenckiego pojawiło się później.

– Pan premier znany jest z tego typu aktywności i prób takiego pozornego wyciągania dłoni. To kolejna próba pana premiera Donalda Tuska, by zaprosić pana prezydenta. Oczywiście nie ma w tym absolutnie żadnej szczerości, nie mamy co do tego żadnych złudzeń. To był gest wyłącznie o charakterze politycznym – mówił Rafał Leśkiewicz, rzecznik Karola Nawrockiego w „Tlicie" w Wirtualnej Polsce. – Każdy, kto zna Donalda Tuska, doskonale wie, że to jest element jego gierek politycznych, które regularnie uprawia. Nie siada się do jednego stołu z człowiekiem, który złamał konstytucję, który prowadzi uzurpatorów do Trybunału Konstytucyjnego – dodał Leśkiewicz.

Stwierdził też, że prezydent jest gotowy na spotkanie, ale stawia dwa warunki: wycofanie policji z Trybunału Konstytucyjnego i umożliwienie wejścia do Trybunału sędziom, „którzy mają tam prawo przebywać, bo są sędziami Trybunału".

Więc pewnie żadnego dzielenia się opłatkiem przed Wigilią nie będzie.

KRÓTKO

Kraków

Po ataku na Rynku Głównym. Stan rannych

10 rannych znajduje się w pięciu krakowskich lecznicach. Z kolei 27-letnia Polka z uszkodzeniami wątroby przebywa w szpitalu klinicznym przy ul. Banacha w Warszawie. Jeżeli chodzi o policjanta Artura Morańskiego, dwukrotnie postrzelonego w zamachu, to w środę przeszedł operację ręki w krakowskim szpitalu wojskowym, a jego stan jest stabilny, choć ciężki. Policjanta czekają kolejne zabiegi. Drugi ranny policjant Jakub Kulik przebywa w szpitalu. Jego stan jest stabilny.

Rzeszów

Lekarka usłyszała zarzuty i trafiła do aresztu

64-letnia lekarka, pełniąca funkcję kierownika oddziału jednego z rzeszowskich szpitali i jednocześnie biegła sądowa usłyszała 307 zarzutów przyjmowania łapówek. Były to zarówno pieniądze, jak i markowe alkohole. Decyzją sądu trafiła na trzy miesiące do aresztu – poinformował rzecznik KWP nadkom. Piotr Wojtunik.
Lekarkę zatrzymali policjanci z Wydziału do Walki z Korupcją Komendy Wojewódzkiej Policji w Rzeszowie w ramach śledztwa nadzorowanego przez Prokuraturę Regionalną w Rzeszowie.

Warszawa

Policjanci zatrzymali na marszu 66 osób

Podczas tegorocznego Marszu Niepodległości policjanci zatrzymali 66 osób, z których 44 posiadały narkotyki oraz zabezpieczyli ponad 450 sztuk środków pirotechnicznych – przekazała rzeczniczka MSWiA Karolina Gałecka. Dodała, że mimo pewnych incydentów marsz był spokojny. PAP



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Najpóźniej w piątek prezydent ogłosi swoją decyzję ws. ustawy wdrażającej akt o usługach cyfrowych, która pozwala na blokowanie w internecie nielegalnych treści

RAFAŁ LEŚKIEWICZ,
rzecznik prezydenta

eprasa.pl 951eddf438

STREFA GAZY

Sześć osób zginęło w izraelskim ataku na szpital. Wśród ofiar jest chirurg

oprac. Anna Nagel

Wczoraj rano na szpital Nasera w Chan Junus na południu Strefy Gazy Izrael przeprowadził atak. Zginęło co najmniej sześć osób, w tym chirurg, a 20 zostało rannych.

Według rzecznika miejscowej obrony cywilnej Mahmuda Basala izraelski pocisk uderzył w oddział chirurgiczny szpitala, powodując rozległe zniszczenia.

Izraelskie siły zbrojne oświadczyły później, że celem ataku był wysoki rangą bojownik Hamasu oraz inni członkowie zbrojnego ramienia tej organizacji, którzy – według armii – działali na terenie szpitala w Chan Junus.

W oświadczeniu siły zbrojne oskarżyły Hamas o wykorzystywanie kompleksu szpitalnego m.in. do przechowywania broni, prowadzenia centrów dowodzenia i kontroli oraz o wykorzystywanie obiektów szpitalnych jako punktów obserwacyjnych i schronienia dla bojowników.

Szpital Nasera był już wcześniej celem izraelskich nalotów, m.in. w sierpniu 2025 r., gdy w dwóch uderzeniach zginęło co najmniej 20 osób, w tym pięciu dziennikarzy.

Według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) od początku wojny w październiku 2023 r. w Strefie Gazy do września br. zginęło ponad 1,7 tys. pracowników ochrony zdrowia, w tym lekarze, pielęgniarki i ratownicy medyczni. WHO odnotowała również co najmniej 920 ataków na placówki medyczne i ich personel.

W ostatnim czasie Izrael nasilił ataki na Strefę Gazy, twierdząc, że Hamas próbuje odbudować swoje siły i arsenał. Hamas zapewnia, że przestrzega zawartego rok temu rozejmu i oskarża Izrael o jego podważanie.

Według władz medycznych Strefy Gazy od zawarcia rozejmu w październiku 2025 r. w izraelskich atakach zginęło co najmniej 1,6 tys. Palestyńczyków. Izrael poinformował o śmierci czterech żołnierzy. **PAP**



FOT. PAP/EPA

Izraelski pocisk uderzył w oddział chirurgiczny szpitala, powodując duże zniszczenia

IRLANDIA

Dwa ważne europejskie szczyty w Dublinie

oprac. Anna Nagel

Wczoraj w Dublinie odbył się szczyt Europejskiej Wspólnoty Politycznej. Dzisiaj w stolicy Irlandii zaplanowano nieformalne spotkanie liderów Unii Europejskiej.

9. szczyt Europejskiej Wspólnoty Politycznej zgromadził prawie 50 szefów państw i rządów, a także szefów unijnych instytucji i NATO. W piątek w Dublinie odbędzie się nieformalne posiedzenie liderów krajów UE. Oba szczyty następują tuż po rozmowach w Abu Zabi między Ukrainą i Rosją przy pośrednictwie USA.

Od środy w stolicy Irlandii jest prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. Wczoraj odbyło się tam spotkanie z amerykańskimi wysłannikami, Jaredem Kushnerem i Steve'em Witkoffem, którzy brali udział w rozmowach w Abu Zabi, a następnie udali się do Moskwy na spotkanie z prezydentem Rosji Władimirem Putinem.

Premier Donald Tusk wyleciał do Dublina wczoraj rano. Wziął udział m.in. w sesji plenarnej otwierającej szczyt Europejskiej Wspólnoty Politycznej, w dyskusjach w formule okrągłego stołu, a późnym popołudniem w oficjalnym przyjęciu wydawanym przez premiera Irlandii Micheala Martina. Dzisiaj premier będzie uczestniczyć w nieformalnym posiedzeniu Rady Europejskiej.

Piątkowy szczyt unijny ma być poświęcony tematowi sztucznej inteligencji, w jaki sposób wykorzystać potencjał AI do zwiększenia konkurencyjności Europy. Ma być też mowa o wpływie AI na społeczeństwo, bezpieczeństwo i zaufanie. Według zapowiedzi będzie to pierwsza strategiczna dyskusja liderów UE na ten temat. Podjęty ma być też temat rozmów pokojowych ws. zakończenia wojny w Ukrainie.



FOT. PAP/EPA

Irlandzki premier Micheal Martin powitał przewodniczącą KE Ursulę von der Leyen na 9. Szczycie Europejskiej Wspólnoty Politycznej

W ubiegłym tygodniu premier Włoch Giorgia Meloni zaapelowała o wpisanie do agendy piątkowego posiedzenia kwestii tego, kto i z jakim mandatem powinien reprezentować Unię w negocjacjach pokojowych. Wskazała, że ta sprawa powinna być omówiona w piątek, tak aby w grudniu Rada Europejska mogła sformalizować decyzję.

Włochy, obok przedstawicieli E3 (Francja, Wielka Brytania, Niemcy) oraz unijnych instytucji i NATO, znalazły się wśród państw, które spotkały się z Ukrainą i stroną amerykańską w Abu Zabi, na marginesie rozmów Ukraina – Rosja – USA.

Podczas wczorajszego szczytu EWP pod hasłem: „Silna, bezpieczna i połączona Europa" przywódcy rozmawiali m.in. o tym, jak budować konkurencyjność Europy przez innowacje, łączność i przystępną cenowo energię, a także o tym, jak chronić demokrację w Europie.

Europejska Wspólnota Polityczna to zainicjowane w 2022 r. przez prezydenta Francji Emmanuela Macrona, po rosyjskiej agresji na Ukrainę, forum mające promować dialog i współpracę. Oprócz 27 krajów UE należą do niego m.in. Turcja, Albania, Azerbejdżan, Armenia, Ukraina, Szwajcaria, Norwegia i Wielka Brytania. Po raz drugi w szczycie EWP ma uczestniczyć Kanada.

Spotkania EWP organizowane są dwa razy w roku. Pierwszy szczyt miał miejsce w październiku 2022 r. w Pradze. Poprzedni odbył się w maju w Erywaniu, stolicy Armenii.

Od 1 lipca do końca roku Irlandia sprawuje prezydencję w Radzie UE. Skupia się na trzech filarach: konkurencyjności, bezpieczeństwie i wartościach. **PAP**

ZBROJENIA

Korea Północna uznała apel G7 o denuklearyzację jako niemożliwy

oprac. Anna Nagel

Resort dyplomacji Korei Płn. odrzucił wczoraj apel ministrów spraw zagranicznych państw G7 o denuklearyzację, podkreślając, że jest ona „niemożliwa teoretycznie i praktycznie".

„Zdecydowanie potępiam i odrzucam złośliwą krytykę G7, dotyczącą konstytucyjnego prawa naszego państwa, i potwierdzam w najjaśniejszych słowach niezachwianą wolę Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej (KRLD) do posiadania broni jądrowej" – oświadczyła minister spraw zagranicznych Czoe Son Hui.

Dyplomatka określiła żądania mianem podwójnych standardów, a samą grupę G7 nazwała „wyalienowaną mniejszościową grupą polityczną". Jednocześnie zarzuciła USA i Wielkiej Brytanii nielegalną proliferację technologii jądrowych w celach wojskowych, a Japonii realizację „neomilitarystycznych ambicji".

Wątek zbrojeń kontynuował w oddzielnym komunikacie wysoki przedstawiciel partii rządzącej Kim Dzong Sik. Skrytykował on rozbudowę sił morskich USA i sojuszników w regionie, wskazując przede wszystkim na projekty okrętów podwodnych o napędzie atomowym, rozwijane w ramach paktu AUKUS, oraz manewry grupy QUAD. Zapowiedział „stały i przyspieszony rozwój potencjału odstraszania wojennego" Korei Północnej. – Będziemy powstrzymywać wszelkie zagrożenia przez działanie i demonstrację realnie wzmocnionej siły – oświadczył. **PAP**

PAKISTAN

Atak pakistańskich talibów. Zginęło 10 policjantów

oprac. Anna Nagel

Co najmniej 10 policjantów zginęło, a 12 zostało rannych w ataku na konwój na północnym zachodzie Pakistanu. Do zorganizowania zamachu przyznała się organizacja pakistańskich talibów TTP.

Funkcjonariusze zostali ostrzelani przez napastników, gdy wracali w środę z operacji na terenie nielegalnej kopalni złota w dystrykcie Gumbat w prowincji Chajber Pasztunchwa – podała w komunikacie regionalna policja.

Prezydent Pakistanu Asif Ali Zardari potępił atak i zapewnił, że „determinacja narodu, by całkowicie wykorzenić terroryzm z kraju, pozostaje niezachwiana".

Rząd w Islamabadzie oskarża władze Afganistanu o udzielanie schronienia bojownikom TTP – dżihadystycznego ugrupowania, które od lat przeprowadza w Pakistanie krwawe zamachy, dążąc do obalenia władz i zaprowadzenia rządów zgodnych ze skrajnie fundamentalistyczną interpretacją prawa islamskiego. Władze afgańskie stanowczo odrzucają te zarzuty.

Relacje między Pakistanem a Afganistanem są szczególnie napięte od powrotu talibów do władzy w Kabulu w 2021 roku. Sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu w październiku 2025 roku po krwawych starciach na granicy, w wyniku których zginęło kilkuset cywilów i które doprowadziły do niemal całkowitego jej zamknięcia. Dzięki mediacjom starcia wygasły, ale nie doszło do zawarcia szerszego porozumienia pokojowego. **PAP**

eprasa.pl 951eddf438

tygodnik Regionów

Piątek, 13.11.2026

Społeczeństwo

Część prochów z urny do grobu, a reszta do jeziora, na działkę, do lasu...

– Str. 12-13

Historia

W 1918 roku ruszyli do boju o wolną Polskę. Po latach nowe życie zaczęli w Koszalinie

– Str. 16



FOT. ŁĄCZY NAS PIŁKA

164 mecze z orzełkiem. Michał Kubik zakończył reprezentacyjną karierę

Z kadrą narodową kończy nie tylko Cristiano Ronaldo. Ostatni mecz w reprezentacji futsalu rozegrał Michał Kubik. - Gra dla ojczyzny była ważnym elementem mojego życia - mówi 36-letni Szczecinianin. Mecz z Irlandią Północną, którym zamknął swoją międzynarodową karierę, był jego 164 występem w biało-czerwonych barwach – Str. 10 - 11

eprasa.pl 951eddf438

SPORT

164 mecze z orzełkiem. Michał Kubik zakończył reprezentacyjną karierę

Z kadrą narodową kończy nie tylko Cristiano Ronaldo. Ostatni mecz w reprezentacji rozegrał Michał Kubik. - Uroniłem łezkę, bo gra dla ojczyzny była ważnym elementem mojego życia - mówi 36-letni Szczecinianin. To żywa legenda polskiego futsalu. Mecz z Irlandią Północną, którym zamknął swoją międzynarodową karierę, był bowiem jego 164 występem w biało-czerwonych barwach. - Cieszę się, że mogłem być nie tylko świadkiem, ale również uczestnikiem tej pięknej historii - dodaje.



FOT. ŁĄCZY NAS PIŁKA

Pożegnanie z kadrą nie oznacza, że Michał Kubik (pierwszy z lewej dolnym rzędzie) definitywnie kończy z graniem. Cały czas występuje bowiem na ekstraklasowych parkietach.

Grzegorz Racinowski

- Gdy jako 19-latek grałem w 5-ligowej Arkonii Szczecin, to nie marzyłem o kadrze narodowej, a co dopiero o tym, że przejdę do historii polskiego futbolu - przyznaje w rozmowie z GS24.

Nie są to czcze przechwałki. Nie są to czcze przechwałki. Michał Kubik jest jedną z najważniejszych postaci w dziejach rodzimego futsalu.

- Kubik przez lata był liderem reprezentacji Polski, długoletnim jej kapitanem. W trudnych momentach jako pierwszy stawał do rozmów z dziennikarzami, ale był także symbolem ostatnich sukcesów naszej kadry. Trzykrotnie świętował awans na Mistrzostwa Europy z biało-czerwonymi, co wcześniej nikomu się nie udało - akcentował portal Łączy Nas Piłka w zapowiedzi pożegnalnego meczu.

Z 5-ligi do ekstraklasy

Zaczynał od gry na trawie, ale już od najmłodszych lat świetnie odnajdował się w halowej odmianie piłki nożnej.

- Tomek Brzozowski, mój ówczesny trener w 5-ligowej Arkonii, a aktualnie dyrektor akademii Świtu Szczecin, wiedział, że dobrze się czuję na hali. Zaproponował mi grę w zespole Moto 46 Szczecin, który rywalizował w środowiskowej lidze futsalu. Nie tylko wygraliśmy szczecińskie rozgrywki, ale jako zupełnie amatorska drużyna weszliśmy w sezonie 2009/2010 do... finału Pucharu Polski. Przegraliśmy wprawdzie 2:6 z Hurtapem Łęczyca, ale zostałem dostrzeżony przez trenerów Pogoni 04 Szczecin. Zaprosili mnie na Młodzieżowe Mistrzostwa Polski w futsalu. Zagrałem w nich jako zawodnik Arkonii, ale wypożyczony do Pogoni – opowiada Michał Kubik.

Futsalowa Duma Pomorza, w składzie której wystąpili m.in. Artur Jurczak, Daniel Maćkiewicz i Łukasz Tubacki, wróciła do Szczecina ze złotymi medalami.

- Zdobyliśmy mistrza, a ja dobrze się zaprezentowałem. Zabrakło mi chyba tylko jednej bramki do tytułu króla strzelców. Po turnieju poszedłem do prezesa Arkonii i powiedziałem, że nie chcę grać na trawie i że idę do Pogoni 04 Szczecin – wspomina nasz rozmówca.

Drużyna występowała wówczas w futsalowej ekstraklasie. Michał nie od razu przebił się do elity.

- Przez pierwsze trzy miesiące praktycznie nie grałem. Trener Gerard Juszczak początkowo nie widział dla mnie miejsca w składzie. Uważał, że popełniam błędy i muszę jeszcze popracować. Ale wystarczyło, że dał mi szansę. Graliśmy u siebie z Polkowicami. Strzeliłem bramkę i zanotowałem asystę. Po tym meczu stałem się podstawowym zawodnikiem Pogoni i synkiem trenera - śmieje się 36-latek.

Legenda futsalu

Jego potencjał był zauważalny również poza Szczecinem. W ekstraklasie debiutował w 2010 roku jako 20-latek. W 2011 r. otrzymał natomiast pierwsze powołanie do futsalowej reprezentacji kraju.

- Najpierw pojechałem na Akademickie Mistrzostwa Świata w Serbii, za trenera Klaudiusza Hirscha. Niedługo po tym – 12 kwietnia 2011 r. - zaliczyłem debiut w pierwszej drużynie u trenera Vlastimila Bartoška. Minutę od wejścia wpisałem się na listę strzelców, choć trafienie mi się nie należało. Bramka została zapisana na moje konto, ale był to gol samobójczy. Najważniejsze jednak, że wypadłem nieźle i zostałem w drużynie na... piętnaście lat. Do stycznia 2026 r., czyli do Mistrzostw Europy, po których zrezygnowałem z gry w kadrze, byłem powoływany na każde zgrupowanie. Kolejno u Vlastimila Bartoška, Klaudiusza Hirscha, Andrei Bucciola, Andrzeja Biangi i Błażeja Korczyńskiego - wylicza Kubik.

W rozmowie z portalem ŁNP przyznał, że gra w biało-czerwonych barwach była dla niego wielką dumą i spełnieniem dziecięcych marzeń. Pozwoliła mu bowiem reprezentować kraj, który kocha i zapisać się w historii polskiego futbolu.

- Byłem jednym z liderów tej kadry i to w najlepszych latach polskiego futsalu. W styczniu 2018 r., po siedemnastu latach przerwy, reprezentacja Polski zagrała w Mistrzostwach Europy. Łącznie zagrałem w nich trzykrotnie. Żałuję jedynie, że nie udało się pojechać na Mistrzostwa Świata. Było bardzo blisko, bo dwa razy odpadliśmy w barażach. Warto docenić te wszystkie osiągnięcia, bo popchnęliśmy futsal do przodu. Jest wiele krajów, które nie mogą pochwalić się trzykrotnym awansem na EURO – akcentuje dzisiejszy bohater.

eprasa.pl 951eddf438

Mecz inaugurujący ME 2018 był zresztą jednym z najważniejszych momentów Szczecinianina w karierze. Polacy przegrywali z Rosją 0:1. Na dziewięć sekund przed syreną końcową Kubik doprowadził do sensacyjnego remisu.

- Nie zapomnę nigdy tego spotkania z Lublany. Pierwszy mecz na Mistrzostwach Europy, z Rosją. Ostatnie sekundy i mój gol na wagę remisu 1:1. Pamiętam te trybuny, uderzenie, mam zresztą do dzisiaj zdjęcie z tej sytuacji – mówi Kubik, który łącznie strzelił 47 goli w biało-czerwonych barwach.

Król strzelców Ligi Mistrzów

Z okazji pożegnalnego meczu portal ŁNP przygotował TOP 5 Michała Kubika. Poza debiutem przeciwko Macedonii i inauguracji Euro 2018 wynotowany został barażowy mecz z Węgrami („w rewanżowym spotkaniu, wygranym 6:4, zdobył dwie bramki"), przegrany baraż do MŚ z Kazachstanem („Ten mecz był swoistym obrazem Kubika, lidera, który dla reprezentacji Polski był w stanie poświęcić nawet swoje zdrowie. Zagrał z mikrozłamaniem."), a także mecz z Rumunią, w którym został samodzielnym rekordzistą pod względem występów w kadrze.

Kubik, choć nazywa siebie „zawodnikiem reprezentacyjnym", odnosił sukcesy również w klubowej piłce.

- W drugim sezonie ekstraklasy zostałem odkryciem i młodzieżowcem roku. W sezonie 2013/14 Pogoń wywalczyła tytuł wicemistrza kraju, a ja zdobyłem piętnaście bramek i zostałem wybrany najlepszym zawodnikiem ligi – wylicza Kubik.

Z Pogoni odszedł w 2017 roku.

- W Szczecinie pojawiły się problemy finansowe, a ja dostałem ofertę od Rekordu Bielsko-Biała, czyli największego klubu. Takiej futsalowej Legii Warszawa. To była świetna decyzja, bo na Śląsku odnalazłem swoje miejsce. Właśnie w Rekordzie miałem największe sukcesy. Grałem w Lidze Mistrzów, w tym w Elite Round przeciwko Barcelonie. Z dziesięcioma trafieniami w dziewięciu meczach zostałem nawet królem strzelców edycji 2018/2019. Poza tym wywalczyliśmy pięć Mistrzostw Polski, cztery Puchary Polski, trzy albo cztery Superpuchary. Przez kilka lat byliśmy praktycznie nie do doścignięcia - tłumaczy Kubik.

Trochę żałuje, że nie zdecydował się na wyjazd zagraniczny.

- Po Lidze Mistrzów, w której zostałem królem strzelców, pojawiły się propozycje, ale nie były to takie warunki, które by mnie satysfakcjonowały. W 2017 r., gdy odchodziłem z Pogoni, miałem zresztą ofertę ze Szwajcarii. Było blisko, żebym się tam przeprowadził, ale wybrałem Rekord i nie żałuję, bo przeżyłem tam najpiękniejszy czas w takiej piłkarskiej karierze – przyznaje.

Uronił łezkę

W sobotę, 7 listopada, gdy Polacy podejmowali Irlandię Północną, nie tylko zagrał po raz ostatni, ale również wyprowadził reprezentację jako jej kapitan. Na parkiet tarnowskiej hali wyszedł zresztą ze swoim synem.

Cieszą trzy awanse na ME, ale szkoda, że nie wywalczyliśmy nic na EURO. Żałuję też, że nie zagraliśmy na Mistrzostwach Świata, bo wtedy miałem kończyć karierę

GRZEGORZ KUBIK

- Nie ukrywam, że uroniłem łezkę. Gra dla ojczyzny była bowiem bardzo ważnym elementem mojego życia - mówił już po syrenie końcowej.

Wcześniej opowiadał na GS24 o przeżyciach związanych z ostatnim zgrupowaniem kadry narodowej.

- Przyjechałem do Tarnowa w czwartek. Mam za sobą kilka treningów, podczas których wyglądałem nieźle. Nawet śmiałem się, że trzeba odwołać to pożegnanie. Czuję się świetnie i myślę, że jeszcze przez jakiś czas mógłbym grać na najwyższym poziomie. Wiem jednak również, że czas nie stoi w miejscu. Przychodzą młodsi koledzy, a ja sam też nie mam tyle czasu, co dawniej. Przechodząc przed laty do klubu z Bielska-Białej otrzymałem również pracę w firmie Rekord. To jeden z kluczowych dostawców informatycznych, jeżeli chodzi o administrację publiczną. Początkowo pracowałem na pół etatu, ale przed rokiem, czyli w momencie, kiedy odszedłem z Rekordu, zostałem zatrudniony na cały etat. Trudno połączyć to z profesjonalnym uprawianiem sportu - tłumaczył nam Michał.

W sobotę – zgodnie z planem - zagrał jedynie w pierwszej połowie, popisując się asystą przy trafieniu na 4:0. W przerwie meczu Bartosz Ryt (prezes Małopolskiego ZPN) oraz Henryk Kula (prezes Śląskiego ZPN), wręczyli zawodnikowi pamiątkową koszulkę.

Ostatecznie Polacy pokonali rywala aż 12:1, umacniając się na prowadzeniu w eliminacjach do Mistrzostw Świata.

Wciąż gra w ekstraklasie

Pożegnanie z kadrą nie oznacza, że 36-latek definitywnie kończy z graniem. Cały czas występuje bowiem na ekstraklasowych parkietach.

- Aktualnie jestem zawodnikiem AZS UŚ Katowice. Jestem również w trakcie kursu UEFA Futsal B i zostałem niedawno trenerem kadry Śląska U-13. Kocham piłkę nożną, więc trudno powiedzieć mi „dziękuję" i skończyć z nią definitywnie. Szczególnie, że czuję się na siłach, by pograć jeszcze przez kilka lat. Dlatego myślę, że stanie się to dopiero wtedy, gdy ktoś powie „dziękuję" za mnie – śmieje się nasz rozmówca.

Czy czegoś żałuje?

- Cieszą trzy awanse na ME, ale szkoda, że nie wywalczyliśmy nic na samym EURO. Żałuję też, że nie zagraliśmy na Mistrzostwach Świata, bo teoretycznie podczas tych zawodów miałem kończyć karierę reprezentacyjną. Taki był plan. Ale powtórzę jeszcze raz: uważam, że to był bardzo cenny czas dla polskiego futsalu, bo staliśmy się zespołem, który miał szacunek u rywali. Cieszę się, że mogłem być nie tylko świadkiem, ale również uczestnikiem tej pięknej historii – uznaje Kubik.

REKLAMA 0011611172



eprasa.pl 951eddf438

POCHÓWKI

Część prochów z urny do grobu, a reszta do jeziora, na działkę, do lasu...

Do Senatu trafiła petycja postulująca liberalizację zasad pochówku. Dyskusja dotyczy zarówno rozsypywania prochów poza cmentarzem, jak i możliwości przechowywania urny w domu

Agnieszka Domanowska



FOT. 123RF

Zakłady pogrzebowe mają obowiązek wydać urnę rodzinie zmarłego. Co dalej dzieje się z prochami, trudno skontrolować

Urna z prochami trafiła do rodzinnego grobu, ale nie znalazła się w niej cała jej zawartość. Wcześniej najbliżsi zmarłego odsypali część prochów, a potem, w niewielkim gronie przyjaciół, weszli na Kopę w Górach Opawskich i tam je rozsypali. Było to bowiem miejsce, które miało dla zmarłego szczególne znaczenie. Chcieli w ten sposób spełnić ostatnią wolę bliskiego, choć polskie prawo nie pozwalało na takie pożegnanie.

– Chcieliśmy uszanować wolę zmarłego – tłumaczył kilkanaście lat temu w rozmowie z „NTO" jeden z uczestników tego nieoficjalnego pogrzebu. Nieżyjący już mężczyzna wcześniej wielokrotnie powtarzał bliskim, że chce spocząć w górach, które kochał. Rodzina i przyjaciele postanowili spełnić jego życzenie, choć musieli zrobić to wbrew obowiązującym przepisom.

Takie historie pokazują, że ostatnia wola zmarłego nie zawsze mieści się w ramach wyznaczonych przez prawo. Niektórzy chcieliby spocząć w ukochanych górach, inni w lesie, ogrodzie, jeziorze lub w miejscu związanym z ważnymi wspomnieniami. Obecne regulacje pozostawiają jednak niewiele możliwości. Czy to się zmieni? Do Senatu trafiła petycja postulująca liberalizację zasad pochówku. Dyskusja dotyczy zarówno rozsypywania prochów poza cmentarzem, jak i możliwości przechowywania urny w domu.

Ludzie nie zgłaszają takich przypadków

Obowiązujące przepisy są jednoznaczne – urnę z prochami można złożyć na cmentarzu, w grobie lub kolumbarium. Ustawa o cmentarzach i chowaniu zmarłych dopuszcza poza tym jedynie zatopienie zwłok w morzu. Rozsypywanie prochów w górach, lesie czy ogrodzie, a także przechowywanie urny w domu, jest wykroczeniem. Grozi za nie grzywna do 5 tysięcy złotych albo kara aresztu do 30 dni.

Jednak mimo zakazu zdarzają się sytuacje, w których bliscy decydują się postąpić zgodnie z życzeniem zmarłego. Tak było na Podlasiu. Kobieta odebrała w Białymstoku urnę z prochami ojca i wiozła ją do Siemiatycz. Po drodze postanowiła jednak zatrzymać się w miejscu szczególnie ważnym dla taty. Otworzyła urnę i rozsypała prochy na jego ukochanej działce pod Białymstokiem, gdzie mężczyzna przez wiele lat czas mieszkał. Do urny wsypała popiół z kominka. Stwierdziła, że grób na odległym cmentarzu i tak rzadko będzie odwiedzać, a działkę w podbiałostockiej wsi, gdzie spoczęły prochy jej taty, w każdy weekend.

Sygnały o tego typu sytuacjach trafiały też do podlaskiej policji. Funkcjonariusze przyznają, że takich przypadków jest niewiele, ale nie oznacza to, że w ogóle się nie zdarzają.

– W ostatnich latach mieliśmy dwie tego typu sprawy, obie w 2024 roku. Pierwsza miała miejsce w Łapach i dotyczyła rozsypania prochów na działce. Druga dotyczyła nielegalnego pochówku na cmentarzu – mówi młodszy inspektor Tomasz Krupa, rzecznik prasowy podlaskiej policji.

Obie sprawy trafiły do sądu, a sprawcy zostali ukarani grzywną. Policjanci zwracają jednak uwagę, że niewielka liczba zgłoszeń nie musi odzwierciedlać rzeczywistej skali zjawiska. Rodziny mogą traktować rozsypanie prochów jako osobisty gest, sposób na spełnienie ostatniej woli zmarłego, a nie zdarzenie, które należy zgłosić służbom.

Petycja w Senacie. Czy przepisy się zmienią?

O zmianę zasad pochówku upomnieli się autorzy petycji, która trafiła do Senatu. Postulowali między innymi umożliwienie przechowywania urny w domu oraz rozsypywania prochów poza cmentarzem. Ich propozycje otworzyły dyskusję o tym, czy rodziny powinny mieć większą swobodę w decydowaniu o formie ostatniego pożegnania.

Podczas posiedzenia senackiej komisji Joanna Kujawa z Ministerstwa Zdrowia wskazywała, że prochy ludzkie nie stanowią zagrożenia epidemiologicznego. Podobną opinię przedstawił podlaski sanepid. Kwestia bezpieczeństwa sanitarnego nie wyczerpuje jednak wszystkich problemów związanych z ewentualną zmianą prawa.

– Mamy regulację, która zabrania rozsypywania prochów. Jako sanepid możemy z całym przekonaniem stwierdzić jedynie, że kremacja odbywa się w bardzo wysokiej temperaturze, więc wszystkie bakterie i związki chemiczne zostają zniszczone, a spopielone prochy nie stanowią zagrożenia epidemiologicznego – powiedziała Ewa Tokajuk, rzeczniczka Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Białymstoku.

Petycja dotyczyła także zagadnień, za które odpowiadają inne ministerstwa. Senatorowie zwrócili się więc o opinie do resortów rozwoju i technologii, klimatu i środowiska, infrastruktury oraz spraw wewnętrznych i administracji. Analizy miały objąć między innymi kwestie gruntów, wpływu na środowisko,

eprasa.pl 951eddf438

planowania przestrzennego i porządku publicznego.

Na tym etapie nie było jednak gotowego projektu nowelizacji ustawy o cmentarzach i chowaniu zmarłych. Samo rozpatrywanie petycji nie oznaczało więc, że przepisy wkrótce zostaną zmienione. Na razie osoby, które chciałyby gdzieś rozsypać prochy bliskich, muszą liczyć się z konsekwencjami prawnymi.

Urna zamknięta na stałe

O możliwość rozsypania prochów rzadko pytają również klienci zakładów pogrzebowych. Sławomir Wierzbicki, właściciel zakładu pogrzebowego w Białymstoku, przyznaje, że nigdy nie spotkał się z taką prośbą.

– Nie zdarzyło mi się, żeby klienci pytali o możliwość rozsypania prochów swoich bliskich – mówi.

Zdarzało się natomiast, że rodzina chciała samodzielnie odebrać urnę. Właściciel zakładu podkreśla, że w takiej sytuacji ma obowiązek ją wydać.

– W swojej karierze miałem dwa przypadki, kiedy rodzina poprosiła o wydanie urny. Mam obowiązek tak zrobić, więc ją wydałem – mówi Wierzbicki.

Takie sytuacje były jednak wyjątkowe.

– Zazwyczaj urny z prochami spoczywają na cmentarzach, w kolumbariach – podkreśla.

Samo wydanie urny rodzinie nie oznacza przy tym, że można ją bez przeszkód otworzyć. Jak wyjaśnia właściciel zakładu pogrzebowego, pojemniki są zabezpieczone w taki sposób, by nie dało się swobodnie dostać do ich zawartości.

– Aby otworzyć urnę, trzeba użyć odpowiednio silnych i mocnych narzędzi – wskazuje.

Z pytaniem o rozsypanie prochów spotkał się natomiast właściciel innego zakładu pogrzebowego, który poprosił nas o zachowanie anonimowości. Przyznał, że kiedyś zwróciła się do niego rodzina zainteresowana taką możliwością. Chcieli rozsypać prochy dziadka w lesie. Ostatecznie jednak do tego nie doszło.

Kościół: urna powinna trafić na cmentarz

Kremacja jest dopuszczana przez Kościół katolicki, choć zalecany pozostaje tradycyjny pochówek ciała. Archidiecezja Białostocka wskazuje, że zasady postępowania po kremacji określają między innymi kanon 1176 § 3 Kodeksu Prawa Kanonicznego oraz księga „Obrzędy pogrzebu dostosowane do zwyczajów diecezji polskich".

Po kremacji urna powinna zostać złożona w grobie lub kolumbarium na cmentarzu. Zgodnie z instrukcją „Ad resurgendum cum Christo" z 2016 roku Kościół nie zezwala na rozsypywanie prochów ani na ich stałe przechowywanie w domu.

Archidiecezja podkreśla, że również przy kremacji należy zachować chrześcijański szacunek dla ciała zmarłego i wyrazić wiarę w zmartwychwstanie. Miejsce pochówku ma służyć nie tylko upamiętnieniu konkretnej osoby, lecz także modlitwie bliskich i całej wspólnoty.

Czy na Podlasiu coraz więcej osób chce wybierać inne formy pochówku? Z dotychczasowych obserwacji duszpasterskich nie wynika, by zjawisko wyraźnie przybierało na sile.

– Na podstawie moich dotychczasowych obserwacji duszpasterskich nie dostrzegam wyraźnego nasilenia tego zjawiska na Podlasiu – przekazuje ksiądz Tomasz Mnich, rzecznik prasowy Archidiecezji Białostockiej.

Zaznacza jednocześnie, że archidiecezja nie ma zbiorczych danych, które pozwoliłyby ocenić sytuację we wszystkich parafiach regionu. Sam rzecznik nie spotkał się też w kancelarii z pytaniami o rozsypywanie prochów czy zatrzymanie urny w domu.

Las Pamięci w Suwałkach. Pochówek bliżej natury

Dyskusja o alternatywnych formach pochówku nie musi oznaczać wyłącznie sporu o możliwość rozsypywania prochów w dowolnym miejscu. Jednym z rozwiązań może być stworzenie specjalnie wyznaczonej przestrzeni, w której pochówek odbywałby się w bardziej naturalnej, minimalistycznej formie.

Taka propozycja rozważana jest w Suwałkach. Urząd Miejski prowadzi konsultacje dotyczące utworzenia Lasu Pamięci na cmentarzu komunalnym. Do inicjatywy grupy mieszkańców nawiązał w lutym, podczas sesji rady, radny Grzegorz Izbicki.

Miasto zaproponowało ekologiczny sposób pochówku, w którym prochy byłyby składane w biodegradowalnych urnach, na przykład wykonanych z drewna, wikliny lub tektury. Urny trafiałyby bezpośrednio do zalesionej części cmentarza. Nie byłoby tam tradycyjnych pomników ani krzyży, ponieważ ich rolę pełniłyby rosnące wokół drzewa.

Imiona i nazwiska pochowanych osób znalazłyby się na wspólnych tablicach lub kamiennych postumentach przy wejściu do kwatery. Byłaby to zatem forma pochówku odmienna od tradycyjnych grobów, ale nadal zorganizowana na terenie cmentarza.

Inną koncepcję przedstawiła nieformalna grupa mieszkańców „Przyjazne Suwałki". Jej propozycja zakłada niewielkie płyty nagrobne wkomponowane w naturalną zieleń: drzewa, krzewy i trawniki. W obu pomysłach ważne jest połączenie miejsca pamięci z przyrodą, różnią się jednak sposobem oznaczania miejsc pochówku.

Zainteresowanie mieszkańców sprawdzane jest w konsultacjach społecznych. Do tej pory oddano 154 głosy, z czego 152 za pośrednictwem ankiety internetowej. Jeden głos wpłynął pocztą elektroniczną, a jeden w formie papierowej.

– Obecnie badamy poziom zainteresowania mieszkańców tą formą pochówku – mówi Kamil Sznel, naczelnik Wydziału Obsługi Prezydenta, Komunikacji Społecznej i Promocji Urzędu Miejskiego w Suwałkach.

Decyzje mają zapaść po szczegółowej analizie wyników konsultacji. Nie ustalono jeszcze ani liczby miejsc, ani wysokości opłat, nie można więc na razie porównać kosztów takiego pochówku z ceną grobu urnowego czy niszy w kolumbarium.

MATERIAŁ INFORMACYJNY PGE

0011607971

Local content fundamentem inwestycji energetycznych. PGE stawia na polskich dostawców.

W obliczu niestabilnej sytuacji geopolitycznej krajowe łańcuchy dostaw zyskują strategiczne znaczenie. PGE stawia na zwiększenie udziału polskich firm w swoich inwestycjach. Temat local content zdominował Dzień Dostawcy PGE, który 9 listopada odbył się w Warszawie z udziałem około 500 dostawców oraz przedstawicieli rządu, instytucji finansowych i największych polskich spółek.



Local content odpowiedzią na wyzwania energetyki

Local content zakłada zwiększanie udziału krajowych firm w strategicznych inwestycjach spółek z udziałem Skarbu Państwa. Jest to obecnie priorytetowe działanie Ministerstwa Aktywów Państwowych, które rozwija dialog z przedsiębiorcami i przygotowało kodeks dobrych praktyk dotyczący local content. Równolegle spółki, w tym PGE, powołują pełnomocników odpowiedzialnych za zwiększanie udziału krajowych firm w inwestycjach.

PGE zwiększa udział polskich przedsiębiorstw

W zaktualizowanej w październiku tego roku strategii Grupa PGE wyznaczyła sobie cel osiągnięcia 65-procentowego udziału polskich dostawców i podwykonawców w całym cyklu życia inwestycji do 2035 roku. Już teraz krajowy komponent w sieci dystrybucyjnej PGE, obsługującej 6 mln odbiorców na 40 proc. powierzchni Polski, przekracza 85 proc.

Krajowi dostawcy mają wzmacniać bezpieczeństwo energetyczne poprzez skracanie łańcuchów dostaw i ograniczanie zależności od zagranicznych podmiotów. – *Świat obecnie zmienia się bardzo szybko. Geopolityka silnie wpływa na wszystko, co jest związane z bezpieczeństwem kraju, a bezpieczeństwo energetyczne jest jego bardzo istotnym elementem. Udział polskich przedsiębiorstw daje gwarancję skrócenia łańcucha dostaw i tego, że polscy dostawcy, oczywiście we współpracy z nami, będą dostarczać bezpieczne komponenty, odporne na działania zewnętrzne* – zaznaczył Dariusz Lubera, prezes PGE.

Katarzyna Rozenfeld, Wiceprezeska Zarządu PGE ds. Operacyjnych, zwróciła uwagę na gospodarczy i strategiczny wymiar tej inicjatywy. – *Local content powinien być ważny dla wszystkich Polaków i przedsiębiorstw, bo w dobie globalizacji, nieprzewidywalności i licznych konfliktów niezależność każdego państwa staje się jeszcze ważniejsza. Im bardziej będziemy korzystać z lokalnych dostawców, przedsiębiorstw, usługodawców i wykonawców, tym bardziej będziemy wzmacniać niezależność Polski. Ma to również ogromny wymiar finansowy, bo każda złotówka, która zostanie w kraju, wzmacnia nasze PKB* – podkreśliła.

Dzień Dostawcy Grupy PGE: spotkanie z licznymi partnerami

Wydarzenie zorganizowane 9 listopada 2026 roku na PGE Stadionie Narodowym w Warszawie służyło prezentacji planów inwestycyjnych Grupy i nawiązywaniu współpracy z potencjalnymi wykonawcami. – *To dla nas niezwykle istotny moment. Uczestniczy w nim około kilkuset dostawców, z którymi chcemy prowadzić dialog już na wczesnym etapie naszych projektów. Chcemy poznać ich oczekiwania, a z naszej strony prezentujemy inwestycje, które zamierzamy realizować w najbliższym roku. Przedstawiamy harmonogramy i nasze wymagania. Taki dialog sprawia, że wspólnie będziemy lepiej przygotowani do realizacji tych inwestycji* – wyjaśnił Dariusz Lubera.

PGE zaprosiła firmy z branży energetycznej, OZE, budownictwa, produkcji urządzeń, IT, cyberbezpieczeństwa, transportu, logistyki i technologii środowiskowych. Jak zaznaczyła Katarzyna Rozenfeld, zakres potrzeb Grupy jest bardzo szeroki. – *Grupa PGE ma bardzo różnorodne potrzeby biznesowe. Obejmują one zarówno zadania typowo inżynieryjne, jak i usługi. Wymagania są uzależnione od tego, która część naszej firmy potrzebuje wsparcia w postaci podwykonawców* – skomentowała.

Przewidywalne zamówienia szansą dla polskich firm

Brak przewidywalności zamówień utrudnia krajowym firmom inwestowanie w rozwój i zwiększanie mocy produkcyjnych. PGE chce to zmienić, publikując plany zakupowe z wyprzedzeniem. Tegoroczny plan PGE Baltica obejmuje 40 postępowań, dając przedsiębiorcom czas na przygotowanie ofert i budowanie potencjału niezbędnego do realizacji inwestycji.

eprasa.pl 951eddf438

DZIEDZICTWO

Pielęgnuje świadectwa tych, których próbowano pozbawić głosu

Henryk Pogorzelski z Sokół, laureat 12. edycji nagrody Polin Muzeum Historii Żydów Polskich, od ponad 20 lat działa na rzecz ochrony pamięci o dawnych mieszkańcach rodzinnej miejscowości

Martyna Jurkowska

– Jestem ogromnie szczęśliwy i wzruszony. Ta nagroda jest dla mnie szczególnie cenna, ponieważ stanowi wyraz uznania dla ponad dwudziestu lat mojej samotnej pracy nad przywracaniem pamięci o żydowskich mieszkańcach Sokół i okolic. Ale tej radości towarzyszy również głęboka gorycz – mówi Henryk Pogorzelski.

To społecznik, regionalista i niezależny badacz historii. Z wykształcenia inżynier chemik, od ponad dwóch dekad przywraca pamięć o żydowskich mieszkańcach podlaskich Sokół i okolic (Sokoły to wieś oddalona o 35 km od Białegostoku). Bada dzieje lokalnej społeczności żydowskiej od XVI wieku po współczesność. Jest inicjatorem i współtwórcą polskiego wydania „Księgi pamięci gminy żydowskiej w Sokołach", uzupełnionego o przypisy, indeksy i nieznane wcześniej świadectwa. Doprowadził do przetłumaczenia i wydania „Iskry nadziei" Luby Wróbel-Goldberg oraz do dodruku „Wspomnień. Moja wersja" Izaaka (Wacława) Kornbluma. Przetłumaczył także książkę Daniela Izrailita „La profecía del criminal", wydaną w Argentynie, opisującą losy Mosesa Borowicza z Sokół. Gromadzi dokumenty, relacje i fotografie. Dzięki kontaktom z ocalałymi i ich potomkami na całym świecie identyfikuje osoby na dawnych zdjęciach, uzupełnia biografie i przywraca imiona ofiar Zagłady. Dokumentuje również losy ocalałych z Zagłady.

– Urodziłem się i wychowałem w Sokołach. To moje rodzinne miasteczko, z którym przez całe życie pozostaję emocjonalnie związany – mówi Henryk Pogorzelski. I ciągnie dalej: Przez ponad dwie dekady odnajdywałem nazwiska, fotografie i świadectwa dawnych żydowskich mieszkańców, odtwarzałem ich tragiczne losy. Chciałem ocalić od zapomnienia ludzi, którzy przez stulecia współtworzyli Sokoły i kształtowali ich tożsamość jako żydowskiego sztetla. Tymczasem Sokoły wciąż sprawiają wrażenie miasteczka judenrein (dosłownie: „oczyszczony z Żydów" – przyp. red.), tylko tym razem oczyszczonego z pamięci o swoich dawnych sąsiadach. Określenia „judenrein" używali Niemcy, meldując o likwidacji społeczności żydowskich. Dziś, osiemdziesiąt cztery lata po likwidacji sokołowskiego getta, nadal wymazywane są ślady ich obecności. Nie wystarczyło, że odebrano im życie. Teraz odbiera się im również miejsce w historii rodzinnego miasteczka.

Nie chodzi jednak wyłącznie o obojętność wobec żydowskiej przeszłości Sokół. Za tym milczeniem – jak przekonuje laureat nagrody Polin – kryje się również historia, o której wielu wolałoby nigdy nie usłyszeć.

– 17 lutego 1945 roku w Sokołach zamordowano Żydów, którzy przeżyli Zagładę. Zginęli z rąk członków polskiego podziemia niepodległościowego, należących do oddziałów Kazimierza Kamieńskiego „Huzara" i Karola Gasztofta „Zemsty". Ich jedyną winą było to, że przeżyli i wrócili do rodzinnego miasteczka. Relacje świadków tej zbrodni znalazły się w Księdze Pamięci Gminy Żydowskiej w Sokołach, której polskiemu wydaniu poświęciłem wiele lat pracy – opowiada pan Henryk.

Co dokładnie wydarzyło się w Sokołach 17 lutego? W domu Mordechaja Suraskiego przy ul. Mazowieckiej 32 przebywało wówczas ok. 20 Żydów. – Mieli kilka okazji do świętowania. Po pierwsze, parapetówka. Chcieli również uczcić powrót Dawida Kostrzewskiego z Auschwitz oraz zaręczyny Benjamina Rachlewa z Sokół i Basi Wajnsztajn ze Święcian – opowiada Pogorzelski. – Pojawił się też Dawid Żółty, który odprowadził Szejncę Gryczak, która odwiedziła wcześniej jego matkę Fradlę. W międzyczasie przyjechał z Białegostoku – wynajętym samochodem z sowieckim kierowcą – Awrahamel Goldberg. Wszyscy mieli udać się do wsi Lendowo Budy, aby odebrać uratowaną przez Polkę jego siostrzenicę Fejgele. Dziewczynka nie chciała opuszczać swojej opiekunki, a ta nie chciała oddać dziewczynki. Towarzyszył mu sąsiad z Białegostoku, Wacław Kornblum, który w czasie wojny ukrywał się w Kowalewszczyźnie. Jako inteligent z Warszawy władał perfekcyjną polszczyzną, co miało im ułatwić kontakt z dziewczynką, która zapomniała żydowską mowę. Dołączyli do nich posiadający broń Beniamin Racław i Beniamin Gurkowicz. W tym samym czasie pod Sokołami spotkały się dwa patrole AKO (Obywatelskiej Armii Krajowej – przyp. red.) – Kamieńskiego „Huzara" i Gasztofta „Zemsty". „Huzar" wracał z akcji likwidacyjnej z Kobylina, a „Zemsta" udawał się do Sokół celem likwidacji żydowskiego szpicla. Jak później „Huzar" zeznawał w swoim procesie, na prośbę „Zemsty" udał się razem



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Henryk Pogorzelski walczy o pamięć o Żydach, którzy zginęli w jego rodzinnej wsi Sokoły tuż po zakończeniu wojny

z nim do Sokół. Żołnierze jego patrolu, obecni w Sokołach, to Józef Wierzbicki „Szczygieł", Stanisław Szymborski „Redos", Antoni Jabłoński „Nur", Stanisław Łupiński „Wąsal" i Eugeniusz Kotowski „Groźny". W sumie do Sokół ruszyło 10 żołnierzy tzw. podziemia. Według meldunku kierownika Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Wysokiem Mazowieckiem, por. Zasztofta, napastników było 12 – trzech weszło do mieszkania, a pozostali przebywali na zewnątrz. Mogli przypuszczać, że szpicel o nazwisku Racław, na którego prawdopodobnie był wydany wyrok śmierci, przebywa w domu przy ul. Mazowieckiej 32. Tak jednak nie było. Wszystkie ofiary AK-owców były niewinne – kwituje Pogorzelski.

I przytacza świadectwo Mosze Maika, który na gorąco spisał relacje wszystkich ocalałych z tej zbrodni: „Nagle tylne drzwi się otworzyły. Wszedł Polak z dużym wąsem, ubrany w mundur wojskowy, z karabinem automatycznym w ręku. Zeew Gryczak pierwszy zobaczył Polaka i krzyknął: »Rabusie nadeszli!«. Pobiegł do drugiego pokoju i zamknął drzwi. Polak otworzył serię ogniową. Pierwszymi strzałami zabił inż. Dawida Żółtego i pannę młodą ze Święcian. Basia Wajnsztajn, która smażyła placki, padła martwa z nożem w dłoni. Trzecią ofiarą była ładna, 4-letnia sierota Tolka [Żytawer]. Po tym morderca wszedł do pokoju pełnego gości i ponownie zaczął strzelać. Powstała panika. Na chwilę jego karabin się zaciął. Kilku imprezowiczom udało się wybić okno oraz uciec frontowymi drzwiami, dzięki czemu uratowali się od śmierci. Ale kilku w panice schowało się pod łóżkami. Stojąca na stole lampa naftowa spadła na drewnianą podłogę. Wybuchł pożar. Kolejni rabusie weszli do pokoju i zastrzelili Szamaja Litwaka i Dawida Kostrzewskiego. Ciało Szamaja Litwaka przykryło Abrahama Kalifowicza. Strzały zrobiły dziury w jego ubraniu, ale cudem uratował się. Jusur Wondołowicz, który stał za szafą, też ocalał. Szajna Olsza(k), lat 22, która niedawno wyszła za mąż, uciekła na zewnątrz i tam została zastrzelona przez strażnika rabusiów. Rabusie ukradli swoim ofiarom kozaki i buty, a także rzeczy z łóżek i szaf. W trakcie napadu wszedł 13-letni chłopiec, Szajke Litwak. Rabusie zapytali go: »Do kogo idziesz?«, odpowiedział: »Do mojego brata«. Jeden ze złodziei strzelił chłopcu w twarz. Chłopiec instynktownie zakrył twarz dłońmi i krzyknął: »„Oj!"«. »Żyjesz jeszcze?« – zapytał morderca i strzelił do niego po raz drugi. Chłopak upadł, tarzając się we własnej krwi".

To właśnie ta historia jest – zdaniem Henryka Pogorzelskiego – dla wielu obecnych mieszkańców Sokół nie do zaakceptowania. Bo przypomina nie tylko o ofiarach, ale także o ich mordercach. A świadectwa ocalałych godzą w utrwalany przez lata kult „żołnierzy niezłomnych".

– W moim przekonaniu właśnie dlatego publikacja tych świadectw napotykała tak silny opór. Strażnicy nieskazitelnego wizerunku lokalnych bohaterów nie chcieli dopuścić do upowszechnienia relacji, które burzyłyby wygodną, czarno-białą opowieść o przeszłości. Bo jak pogodzić pomniki ku czci „niezłomnych" ze świadectwami żydowskich ocalałych, którzy wskazują ich jako sprawców mordu? Jak oddawać im publiczne honory, a jednocześnie przyznać, że mają na sumieniu śmierć bezbronnych ludzi, w tym kobiet i dzieci – pyta Pogorzelski.

Nie ma złudzeń, że najprostszym sposobem uniknięcia tych pytań było przemilczenie zbrodni. A wraz z nią skazanie jej ofiar na niepamięć.

– I tak oto żydowscy mieszkańcy Sokół stali się podwójnymi ofiarami historii: najpierw niemieckiej Zagłady i powojennej przemocy, a później milczenia tych, dla których pamięć o zamordowanych stanowiła zagrożenie dla pielęgnowanego mitu – mówi.

Żydowskie korzenie Sokół sięgają XVI w., ale dziś trudno znaleźć w Sokołach miejsca związane z dawnymi mieszkańcami tej miejscowości. Nie ma już drewnianej synagogi – w jej miejscu, tuż przy południowej pierzei rynku, stoi bar. W miejscu starego cmentarza żydowskiego przy dzisiejszej Wspólnej – gdzie pochówki odbywały się od XVIII do końca XIX wieku – zbudowano ośrodek zdrowia. O dawnej nekropolii przypomina mural na pobliskim budynku oraz niewielka tabliczka ustawiona na posesji graniczącej ze starym cmentarzem. Nowy cmentarz żydowski – przy Nowym Świecie i Ogrodowej – to dziś... boisko lokalnego klubu sportowego KS Sokoły.

– Trudno o bardziej jaskrawy przykład niepamięci i braku szacunku dla zmarłych – nie ma wątpliwości pan Henryk. – Nie ukrywam osobistego rozczarowania. Moja praca z podanych wcześniej powodów nie spotkała się w rodzinnym środowisku ani z zainteresowaniem, ani ze wsparciem. Przeciwnie – doświadczałem obojętności, odrzucenia, a niekiedy wręcz wrogości. Przez lata milczałem. Najważniejsze było dla mnie doprowadzenie do wydania po polsku Księgi Pamięci Gminy Żydowskiej w Sokołach, aby świadectwa tych, których próbowano pozbawić głosu, stały się dostępne dla polskiego czytelnika.

Ma dość milczenia. – Dziś nie widzę już powodu, by przemilczać ten opór i udawać, że wszystko jest w porządku. Ta nagroda obnaża bolesny paradoks. Praca, której przez ponad dwadzieścia lat nie chciano dostrzec w moich rodzinnych Sokołach, znalazła uznanie w Warszawie, Buenos Aires, Melbourne i Tel Awiwie. Doceniono ją daleko od Sokół, lecz nie tam, gdzie powinna mieć największe znaczenie. Nie oczekiwałem od Sokół niczego dla siebie. Nigdy o to nie zabiegałem. Oczekiwałem jedynie szacunku dla prawdy historycznej, przywrócenia pamięci o żydowskich sąsiadach i poszanowania ich cmentarza – takiego samego, jakie należy się każdemu miejscu pochówku – mówi.

Pan Henryk przekonuje, że na cmentarzu musi pojawić się upamiętnienie: Nie można chlubić się lokalnym dziedzictwem, a jednocześnie deptać pamięć tych, którzy je współtworzyli. Milczenie nie jest neutralnością. Jest przyzwoleniem. I właśnie dlatego postanowiłem je przerwać.

wsp. Andrzej Kłopotowski

eprasa.pl 951eddf438

LUDZIE STĄD

Bydgoszcz: czwarta, odwzajemniona miłość Leonarda Pietraszaka. Tu 6 listopada 1936 roku wszystko się zaczęło

– Zapamiętam chyba do końca życia: dziesiąty dzień, jedenastego miesiąca, dwunastego roku. Zatyka mnie, nie mogę mówić... Jestem zawodowo od dawna poza Bydgoszczą, ale nigdy nie przestałem być Bydgoszczaninem

Hanka Sowińska

Tak 14 lat temu, odsłaniając swój autograf na ul. Długiej, mówił wzruszony Leonard Pietraszak – dla przyjaciół Lolek. Gdyby żył, dziś obchodziłby 90. urodziny. Odszedł 1 lutego 2023 roku.

– Dziękuję Kapitule, że zechciała się pochylić nad moją osobą. Kapituło kochana, do końca życia będę Wam wdzięczny! Wiwat Bydgoszczanie, wiwat Bydgoszcz! – na te słowa uwielbianego aktora licznie zgromadzona na Długiej publiczność odpowiedziała gromkimi brawami. To był wielki powrót Pietraszaka do miasta urodzenia. Znakomity aktor teatralny i filmowy, znawca i kolekcjoner malarstwa młodopolskiego, miłośnik krakowskich kolorystów odsłonił swoją tabliczkę w Alei Bydgoskich Autografów 10.11.2012 r. (w 2010 r. „Gazeta Pomorska" zaproponowała, by filmowy bankier Gustaw Kramer, bohater serii Juliusza Machulskiego „Vabank" i „Vabank II, czyli riposta", został uhonorowany Autografem; tak się stało, tyle że 2 lata później).

Choć wciągnął go „wielki świat", nigdy nie porzucił rodzinnego miasta. Tu miał bliskich, których odwiedzał, tu 7 lutego 2023 r. odbył swoją ostatnią „ziemską podróż", by spocząć w grobie ukochanej mamy Janiny z Dmowskich na Cmentarzu Starofarnym.

– Wszystko, co dla mnie ważne, zaczęło się w Bydgoszczy – podkreślał Pietraszak wielokrotnie.

Urodził w kamienicy przy ul. Gdańskiej 95. Będąc uczniem Szkoły Podstawowej nr 20 im. Jana Matejki, poznał prace Leona Wyczółkowskiego – do muzeum „Pana z Gościeradza" prowadził swoich uczniów nauczyciel plastyki. W mieście nad Brdą dostrzeżono jego aktorskie predyspozycje – kiedy zaczął swoją krótką przygodę ze Studiem Teatralnym, zetknął się z aktorem Hieronimem Konieczką (jest patronem Teatru Polskiego w Bydgoszczy) i reżyserką Irmą Czaykowską. To oni zasugerowali, by próbował sił w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi.

Małe gniazdeczko Pietraszaków

Pierwsze, w którym „Lolek" się urodził, było na Gdańskiej 95. Okazała kamienica stoi do dziś. Do mieszkania pod nr 7a Janina i Aleksander, rodzice przyszłego aktora, wprowadzili się z dwójką dzieci krótko przed narodzinami Leonarda. Aleksander, były żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza, otrzymał wtedy przydział do 61. Pułku Piechoty.

– Małe to nasze gniazdeczko było – wspominał w 2015 r. Jolancie Zielaznej, dziennikarce „Gazety Pomorskiej". Zdradził, że „od jakiegoś czasu zagląda na Gdańską 95". – Urocza pani Irenka przyjmuje mnie jak rodzinę – mówił.

Drugi adres – Grunwaldzka 40. Czas niemieckiej okupacji, podczas której Janina Pietraszak z córką Marią i Leonardem znaleźli schronienie w niewielkim lokalu, który wcześniej był sklepikiem. Aktor długo nie chciał opowiadać o wojennym koszmarze. M.in. o tym, że z kanką wędrował z Grunwaldzkiej na Chrobrego, gdzie była fabryka makaronu. – Mama i inne pracujące tam kobiety dostawały zupę. Wynosiły je swoim dzieciom. Było biednie, głodno – wspominał.

Od notek w IKP po sceniczny debiut

Po wojnie na Gdańską już nie wrócili, za to w 1946 r. z Anglii do rodziny powrócił Aleksander Pietraszak. „Lolek" skończył na Okolu podstawówkę i III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza (1954 r.). Już w ogólniaku próbował pisać do „Ilustrowanego Kuriera Polskiego". Krótkie to były notki, za które jednak redakcja płaciła parę groszy. Leonard uznał, że jego przyszłością będzie dziennikarstwo. Wybrał Uniwersytet Warszawski, zdał egzamin, jednak z braku miejsc nie został studentem.

Potem była krótka przygoda z chemią na UMK w Toruniu, walki na bokserskim ringu (pod wpływem Feliksa Stamma) i praca w Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej. To wtedy zobaczył ogłoszenie Studia Teatralnego. Taki był początek teatralno-filmowej edukacji „chłopaka z Okola", który posłuchał rad Konieczki i Czaykowskiej. W 1959 roku z wyróżnieniem ukończył łódzką „Filmówkę".

Sceniczną karierę rozpoczął w poznańskich teatrach – Dramatycznym i Polskim. W połowie lat 60. trafił do Warszawy. Zanim dostał angaż do wymarzonego teatru, minęło kilkanaście lat. W tym czasie, za sprawą telewizyjnych seriali (m.in. w „Czarnych chmurach" zagrał płk. Krzysztofa Dowgirda, w „Czterdziestolatku" wcielił się w postać dr. Karola Stelmacha, przyjaciela Stefana Karwowskiego), zyskał sławę. Jednak zawodową miłością „numer 1" był teatr. Pragnął dołączyć do zespołu Teatru Ateneum im. Stefana Jaracza. Tak się stało w 1977 roku. Na deskach Ateneum spędził ponad 30 lat.

„Ubzdurane miłości" młodego Leonarda

Przed laty w rozmowie z Anną Retmaniak, dziennikarką Polskiego Radia, Pietraszak ujawnił, że jako młody człowiek „ubzdurał sobie", iż ma w życiu trzy główne miłości: teatr, jazz i... kiszone ogórki! Życie zweryfikowało tę dziwną listę: miejsce pierwsze zajęła Wanda Majerówna, żona aktora, na drugiej pozycji znalazło się malarstwo, na trzeciej teatr. Pani Wanda pytana o męża zapewniała, że „ceni sobie dom, do którego przynosi kwiaty, nie z okazji, lecz dla ich urody".

Miłość do malarstwa, jak sam przyznawał, miała swoje korzenie w Bydgoszczy. Zauroczenie w nastoletnim wieku twórczością Wyczółkowskiego w dorosłym życiu „wybuchło" fascynacją polskim malarstwem przełomu XIX i XX w. – Zaczęło się przed Kulisiewiczem. Malarstwem interesowałem się już w Poznaniu, dokąd trafiłem po skończeniu łódzkiej „Filmówki". Wtedy jednak nie miałem pieniędzy, które mógłbym inwestować w sztukę – wspominał w rozmowie z „Pomorską" w 2014 r.

Pierwszym prawdziwym obrazem, którym mógł się Pietraszak cieszyć jak dziecko, była olejna praca Marii Chudoby-Wiśniewskiej (nagroda w plebiscycie jednej z gazet na najlepszego aktora Poznania). Szczęście początkującemu hobbyście sprzyjało. – W Warszawie mieszkałem drzwi w drzwi z Tadeuszem Kulisiewiczem (znakomity rysownik i grafik – przyp. red.). Jak każdy artysta, tak i Tadeusz niechętnie rozstawał się ze swoimi pracami. Ale robił wyjątki, łamał się, dlatego udało mi się pozyskać trochę jego dzieł – wspominał. Nie krył, że po okresie zauroczenia grafikami Kulisiewicza zaczęło mu brakować... kolorów. Tak zrodziła się fascynacja twórczością Jana Szancenbacha, potem Jana Stanisławskiego i jego utalentowanych uczniów z „krakowskiej szkoły pejzażowej".

– Zadałem sobie wiele trudu, chcąc poznać twórczość Stanisławskiego. Śledziłem wystawy, aukcje i wszelkie informacje, które o nim i o jego uczniach wówczas się ukazywały. Z wielkim trudem i zachodem powstawała ta kolekcja – mówił.

Zdradził, że obrazy traktuje jak partnerów. – Rozmawiam z nimi. Kiedy ma się pojawić nowe dzieło, staję przed naszą galerią i mówię: „Kochani, za chwilę przyjedzie ten a ten, przyjmijcie go z honorami".

Pytany, który obraz Stanisławskiego jest tym ukochanym, wymienił „Maj w ogrodzie".

Ze zbieraną latami kolekcją prac Jana Stanisławskiego i jego uczniów Wanda i Leonard Pietraszakowie postanowili rozstać się w 2014 r. To wtedy zapadła decyzja, że z „sentymentu do miasta urodzenia" cenny zbiór trafi do Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego. Musiało minąć 7 lat, zanim Honorowy Obywatel Bydgoszczy (tytuł nadany aktorowi w 2018 r.), w imieniu żony i swoim, mógł oficjalnie otworzyć galerię w odrestaurowanym gmachu przy Gdańskiej 4 (czerwiec 2021 r.).

●●●

Uchwałą Rady Miasta Bydgoszczy rok 2026 jest Rokiem Leonarda Pietraszaka. Wczoraj w gmachu Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego przy ul. Gdańskiej 4 otwarto wystawę „Leonard Pietraszak. Aktor, kolekcjoner, Bydgoszczanin". Dziś w Miejskim Ośrodku Kultury odbędą się „Urodziny Leonarda" – godz. 17.30.



FOT. ARCHIWUM MOB

Leonard Pietraszak na tle kolekcji podarowanej miastu. – Wybraliśmy z żoną bydgoskie muzeum, bo jego patronem jest wspaniały artysta Leon Wyczółkowski – mówił aktor

Leonarda Pietraszaka wspomina Marian Opania, aktor Teatru Ateneum:

Był moim najbliższym przyjacielem. Był tak urokliwy, dowcipny, jednocześnie szarmancki dla dam. Sam urok. Znakomity aktor. Wystarczy wspomnieć Kramera w „Vabank" czy pułkownika Dowgirda w „Czarnych chmurach". Nie wiedziałem, że pochodził z Bydgoszczy. Myślałem, że jest z Poznania, ponieważ stamtąd była jego pierwsza żona. Wiem natomiast, że w Bydgoszczy mają Go uhonorować – rozbudowują operę, będzie kino „Leonard".

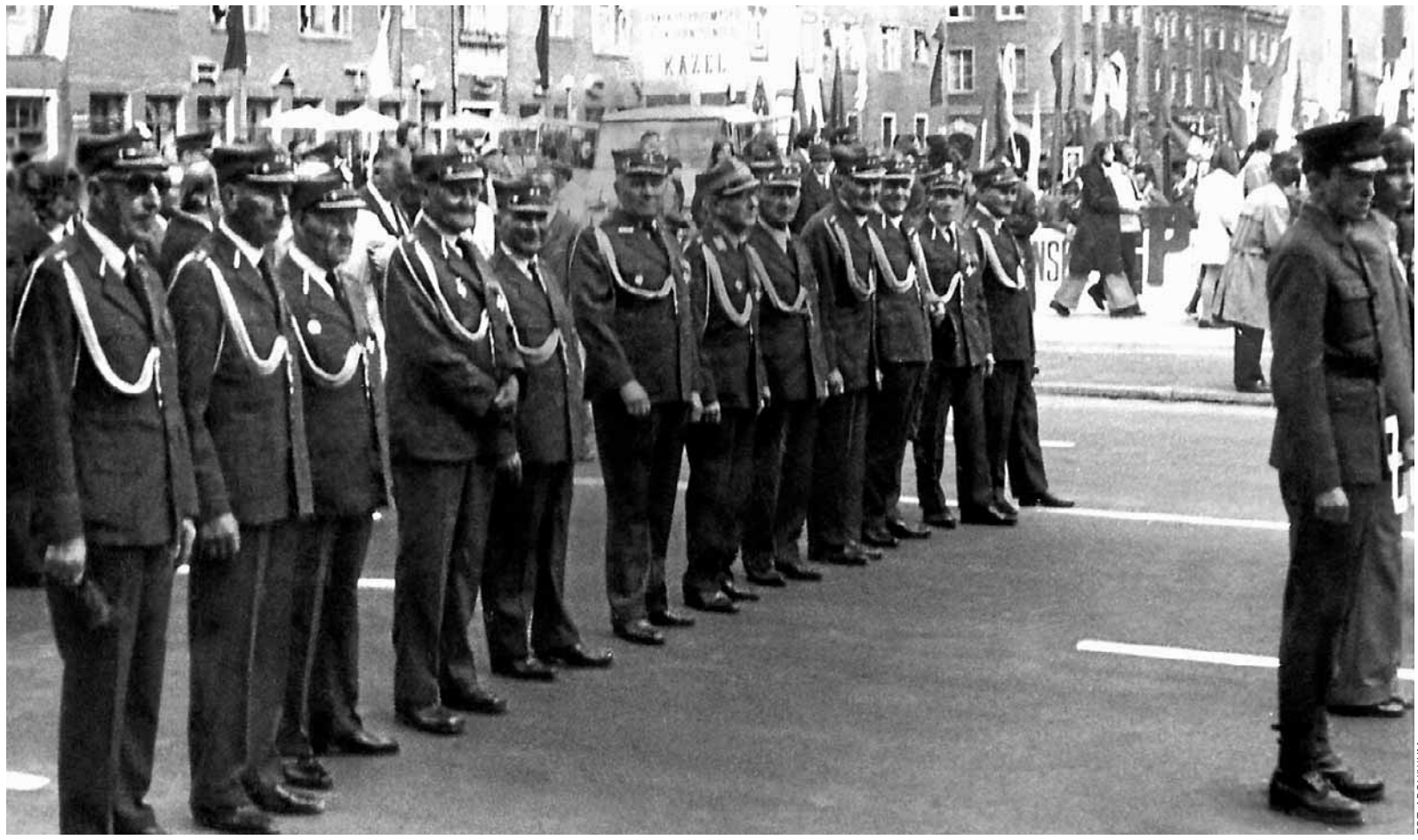
eprasa.pl 951eddf438

HISTORIA

Powstańcy w Koszalinie

Oto zdjęcie zrobione w Koszalinie w 1974 roku, podczas jednych z patriotycznych uroczystości. Dlaczego jest tak wyjątkowe? Bo przedstawia szpaler kilkunastu powstańców wielkopolskich, którzy po II wojnie światowej budowali Koszalin. Na koszalińskim cmentarzu spoczywa ich kilkudziesięciu, a każdy grónb, w którym powstaniec spoczywa jest w specjalny sposób oznaczony

Piotr Polechoński



FOT. ARCHIWUM

Rynek Staromiejski, Koszalin, rok 1974. W czasie jednej z patriotycznych uroczystości w jednym szeregu idą powstańcy wielkopolscy. Po 1945 roku wzięli udział w odbudowywaniu miasta i często byli liderami społecznej aktywności. Swojego czasu powstańcy tworzyli w Koszalinie skuteczne i liczne lobby.

Związki bohaterów z 1918 roku z Koszalinem przez wiele lat tropił i opisywał Maciej Sprutta, nieżyjący już wieloletni szef Stowarzyszenia Przyjaciół w Koszalinie. To dzięki jego staraniom udało się zlokalizować powstańcze groby na koszalińskim cmentarzu oraz odsłonić tutaj - w grudniu 2010 roku - tablicę im poświęconą.

- Wiemy na sto procent, że na cmentarzu komunalnym spoczywa 46 uczestników powstania wielkopolskiego - mówił wówczas Maciej Sprutta w rozmowie z „Głosem".

- Czy to już jest zamknięta liczba? Tego nie wiem. Pamiętam, jak swoje poszukiwania rozpoczynałem z wiedzą, że takich grobów w Koszalinie jest ledwie kilka. Potem, dzięki pomocy osób pracujących w administracji cmentarza i rodzin powstańców, które się do mnie zgłaszały, liczba ta stale rosła. Być może, że wkrótce lista znanych mi powstańczych grobów znowu się wydłuży - dodawał (do swojej śmierci w 2016 roku Maciej Sprutta nie odnalazł już więcej powstańczych grobów - przyp. red).

Co ciekawe, dzięki tym nieustannie trwającym poszukiwaniom udało się ustalić tożsamość wszystkich powstańców uwiecznionych na zdjęciu (zostało wykonane w 1974 r., w trakcie uroczystości zorganizowanych na Rynku Staromiejskim).

Weterani powstania wielkopolskiego do Koszalina zjeżdżali w ramach pierwszych, osadniczych transportów wiosną 1945 roku. Wzięli udział w odbudowywaniu miasta i często byli liderami społecznej aktywności. Swojego czasu powstańcy tworzyli w Koszalinie skuteczne i liczne lobby. Szybko też utworzyli koszaliński oddział Związku Powstańców Wielkopolskich. I to właśnie jego działalność doprowadziła do tego, że dawną ulicę Polną przemianowano na ulicę Powstańców Wielkopolskich.

Ostatni powstaniec - w wieku 106 lat - zmarł w Poznaniu w 2004 roku.

- Z kolei ostatni z powstańców, których odnalazłem na cmentarzu w Koszalinie, został tu pochowany w 1994 roku, w wieku 94 lat - opowiadał Maciej Sprutta.



FOT. IPN

Było to jedyne zwycięskie powstanie ze wszystkich zrywów niepodległościowych w dziejach Polski.

- Nigdy jednak nie myślałem, że było ich tu aż tylu. W pewnej chwili pomyślałem więc, że skoro tylu z nich zostało pośród nas na zawsze, to warto coś zrobić, aby ich upamiętnić - podkreślał Maciej Sprutta. I te starania zakończyły się sukcesem: w grudniu 2014 roku na każdym powstańczym grobie pojawiła się specjalna, powstańcza oznaka.

Od tego czasu tych oznak przybyło, bo po śmierci Macieja Sprutty poszukiwań nie zaprzestano i dziś wiadomo, że na cmentarzu w Koszalinie spoczywa 57 powstańców wielkopolskich, którzy po zakończeniu II wojny światowej przybyli na te tereny jako pionierzy i osiedlili się w mieście.

Powstanie Wielkopolskie

Było to zbrojne wystąpienie polskich mieszkańców Wielkopolski przeciwko państwu niemieckiemu. Polacy domagali się powrotu ziem zaboru pruskiego do Polski, która w tym czasie umacniała swą niepodległość. Powstanie wybuchło 27 grudnia 1918 roku, w reakcji na demonstracje Niemców sprzeciwiających się wizycie w Poznaniu polskiego pianisty i działacza niepodległościowego Ignacego Paderewskiego.

Powstańcy w krótkim czasie opanowali całą Wielkopolskę z wyjątkiem północnych i południowowschodnich jej obrzeży. Walki zakończyły się 16 lutego 1919 roku rozejmem w Trewirze, który rozszerzał na front powstańczy zasady rozejmu kończącego I wojnę światową z 11 listopada. Było to jedyne zwycięskie powstanie ze wszystkich zrywów niepodległościowych w dziejach Polski.

Warto też wiedzieć, że w historii mianem „powstania wielkopolskiego" określa się też wcześniejsze, przegrane powstanie z 1848 roku (wiosna ludów w Wielkopolsce), jednak bez bliższego określenia chodzi niemal zawsze o zwycięski zryw z lat 1918–1919

eprasa.pl 951eddf438

Jak walczyć z kłamstwem i manipulacją? – **Str. 26-27**

PULS *regionów*

BOHATERZY

Artur Morański
Jakub Kulik

– **Str. 20-23**



FOT. MDP OSP BIELSKO-BIAŁA LESZCZYNY / FACEBOOK

eprasa.pl 951eddf438

MOIM ZDANIEM

ALICJA POLEWSKA
red. nacz. „Gazety Pomorskiej”



Kraków 7/11 ♥

Szok. Zawsze pierwszy jest szok. I niedowierzanie. Nie, to nie jest film, choć oglądamy go w telewizorze czy na ekranie komórki. Znane kadry. Rynek Główny. Kraków. Dorożki. Pomnik Mickiewicza. Kościół Mariacki.

Strzały. Krzyk.

Bilans (jakie straszliwie beznamiętne słowo!) zamachu to sześć ofiar śmiertelnych i 16 rannych, w tym zamachowiec.

Ostrowiec Świętokrzyski. Rodzinny dom zamachowca. Trzy ofiary. Rodzice i siostra.

Relacja lekarza, który w jednej z restauracji w Rynku jadł obiad z rodziną: akurat wyszedł przed lokal, kiedy zobaczył kobietę osuwającą się na chodnik. Zadziałał instynkt, wyszkolenie. Puls. Oddech. Gdzie są rany? Były dwie. Pierwsza przy obojczyku. Powiedział, że ok, to da się opanować. Druga kula przeszyła serce. Czytam: westchnęła i umarła. Miała błękitne oczy...

Wczoraj i dzisiaj słońce wzeszło. Jutro też wzejdzie. Za chwilę odwrócimy uwagę, bo mleko kipi na kuchance, trzeba iść do pracy, napisać klasówkę. Życie. Codzienność, której te dziewięć ofiar już nie zazna. Małe rzeczy.

Za chwilę usłyszymy wielkie słowa wypowiadane z miedzianym czołem. Litości! Właśnie zabrano nam spokój, poczucie bezpieczeństwa, przekonanie, że strzały w biały dzień na ulicy to tylko na filmie. Nasz świat w sobotę, 7 listopada nieodwracalnie się zmienił i dlatego tak ważna jest prawda, wyważone sądy.

ZAUFANIE.

Nie jesteście sami. My nie jesteśmy sami. Wspierajmy się, z nadzieją, że to się nie powtórzy. Nigdzie. Na żadnym rynku, ulicy.

MOIM ZDANIEM

ADAM BUŁA
szef Newsrooomu Centralnego



Policjanci Schrödingera

Od samego początku sprawa jest prosta jak drut i od początku - jak zawsze - jest coraz bardziej zamulana przez usłużne stada. Prezes Sakiewicz był w pobliżu miejsca tragedii na Rynku w Krakowie i dał o tym pierwszą relację medialną - niech to pozostanie poza sporem. Policji mogło w tym konkretnym momencie nie być na Rynku. Mogło być jej niewiele. Mogło być ich dużo. Prezes przemieszczał się szybko z Pl. Matejki, był z pewnością - w końcu to prawdopodobnie jednak człowiek - wstrząśnięty, jak wszyscy tam wtedy, panował chaos.

Więc kiedy mówi, że „cały czas nie widać ani jednego policjanta”, zasłaniając policjanta, to nie jest jeszcze nic ważnego. Prezes kończy tę sekwencję zdaniem: „gdzieś się podziali wszyscy policjanci „ - i do tego momentu jego relację pokazuje dziś TV Republika. Bo zaraz potem następuje potok insynuacji, zaczyna się wprost i wstrętne robienie polityki na tle akcji reanimacyjnej, to słynne „zostali wysłani pod Trybunał albo uciekli”, „mam informacje o grupie cudzoziemców”.

Ten fragment nagrania już trudniej będzie wam dziś znaleźć, ale pozostanie na zawsze - i na zawsze będzie wystarczającym powodem, by żądać odebrania Republice koncesji. Nie za ten moment - za to, że to tylko punkt kulminacyjny nieustannej orgii szczucia, kłamania, siania nienawiści i podziałów na antenie tej telewizji. Robienia polityki na trupach. W skrócie - działania wprost na szkodę Polski, rozumianej jako wspólnota narodowa a nie wspólny interes określonej grupy udziałowców.

A my dziś usiłujemy tłumaczyć, że „zadysponowanie 30 zespołów” nie oznacza ich jednoczesnej teleportacji w pobliże prezesa Sakiewicza. Albo że ci, co mieli pistolety, kierowani byli w stronę, gdzie przemieszczał się zamachowiec a nie na Rynek, bo tam wtedy bardziej potrzebne były karetki. Że bohaterscy policjanci jechali za autem zamachowca, zamiast „go taranować” - i to było najmądrzejsze, co mogli i powinni byli zrobić.

I dajemy się tym samym wciągnąć w coraz większy muł, bełtany przez zaprawioną w tym ekipę z Republiki. Bo wszystkie pytania o szczegóły tych wydarzeń, wszystkie wątpliwości co do działań policji i innych służb są ważne i powinny być szczegółowo wyjaśniane - tylko że nijak się mają do oceny relacji prezesa Sakiewicza. Piszę to, bo po kilku dniach w tej sprawie nadal nie można powiedzieć nic mądrzejszego niż powiedział ten, który nie wytrzymał i wykrzyczał wściekły do plującego politycznym syfem Sakiewicza: co ty p... człowieku?

***

Kiedy zawodowe szuje: Matecki i Duklanowski, organizowali nagonkę na poseł Filiks za jej zainteresowanie fuchami tego pierwszego w Lasach Państwowych, ustawili cały ciąg technologiczny do sprawnego rozrzucenia swojego gnoju jak najszerzej. Do najgorszej roboty wybrali najgłupszego: to młody Oskar Szafarowicz podbijał w sieci o poranku sugestię, że matka tolerowała kontakt dziecka z pedofilem z partii, bo bardziej dbała o partyjną karierę niż o syna.

Oskar i jemu podobni trzymani są nadal, nadal po to samo. Dziś Oskar podbija: „Komendant Główny Policji Boroń stwierdził: „”przemieszczanie oddziałów prewencji jest standardowym elementem służby”, przyznając, iż część krakowskich jednostek policji została przemieszczona do Warszawy, między innymi przed Trybunał Konstytucyjny. Gdzie są Silni Razem, którzy wściekle atakowali od soboty mnie i innych stawiających to fundamentalne pytanie - czy policja zamiast strzec bezpieczeństwa na ulicach została wykorzystana politycznie przez obecną władzę?” Młody Oskar stawia więc dziś pytanie: czy władza Tuska ma krew ofiar z krakowskiego Rynku na rękach?

Ale my musimy odpowiedzieć na inne pytanie: CZY CHCEMY NA TO DALEJ POZWALAĆ. Na zalewanie społeczeństwa szczuciem, sianiem jadu, piętrowymi manipulacjami i topornymi kłamstwami. Na jarmark Kłeczka i dowcipy Jarzębowskiego. Na cały ten wschodni bardak.

Bo Republika nie przestanie, będzie tylko gorzej. Taki mają model biznesowy. I sądzą nadal, że wszystko mogą.

Będą mogli? - to jest pytanie do Ciebie.

Donald Tusk: Pamiętając o naszych bohaterskich policjantach, zrobimy wszystko, aby Polska była nadal tym najbezpieczniejszym miejscem w Europie. Niech nigdy żaden Polak ręki nie podnosi na Polaka



FOT. ADAM JANKOWSKI

eprasa.pl 951eddf438

STOPKLATKA



FOT. PAP/SZYMON PULCYN

↑

Frekwencja na Marszu Niepodległości to nawet 250 tys. osób – przekazało w środę wieczorem Stołeczne Centrum Bezpieczeństwa. Organizatorzy marszu ocenili, że frekwencja mogła wynieść pół miliona, a nawet milion osób. Niezależnie od metod liczenia wielkości tłumu, był to jeden z największych marszów w historii. Obyło się bez ekscesów.



FOT. PAP/ŁUKASZ GĄGULSKI

↑

Kraków oddał hołd ofiarom zamachu. Marsz Ciszy rozpoczął się kilkanaście minut po godz. 20 w poniedziałek. Obok prezydenta Krakowa Łukasza Gibały w wydarzeniu wzięli udział prezydent Karol Nawrocki oraz premier Donald Tusk. Wszyscy oni oraz kard. Grzegorz Ryś na początek zapalili znicze w miejscu, w którym zamachowiec zastrzelił trzy pierwsze osoby.

→

Szczecin wzbogacił się o kolejny ważny symbol swojej morskiej tradycji. Podczas środowej uroczystości na Wałach Chrobrego ochrzczono prom „Bursztyn Unity", który wraz z bliźniaczym „Jantarem Unity" będzie obsługiwał połączenia ze Szwecją pod polską banderą.



FOT. PAP/MARCIN BIELECKI



FOT. ALTAF QADRI/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

←

Negocjacje trójstronne Ukraina-USA-Rosja w stolicy Zjednoczonych Emiratów, Abu Zabi, miały być owocne. Delegacja USA udała się w czwartek do Moskwy, a następnie spotka się z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim.

eprasa.pl 951eddf438

O TYM SIĘ MÓWI

Jakub Kulik z Bielska-Białej na oczach całego świata powstrzymał zamachowca w Krakowie. „Zawsze miał charyzmę”

Strażak ochotnik, żołnierz wojsk powietrznodesantowych, a od soboty najbardziej znany polski policjant – starszy posterunkowy Jakub Kulik z Bielska-Białej, który poskromił zamachowca strzelającego do ludzi w centrum Krakowa, jest na ustach całej Polski. – Skromny chłopak, solidny i koleżeński. Społecznik – mówi o nim jego wychowawczyni z bielskiego ogólniaka, a rzeczniczka 6. Brygady Powietrznodesantowej, gdzie do niedawna Kulik służył, w krótkich, żołnierskich słowach dodaje: – Widać było jego charyzmę i odwagę

Jacek Drost

Starszy posterunkowy Jakub Kulik wraz ze starszym posterunkowym Arturem Morańskim pomogli ująć Michała O., który w sobotnie popołudnie, ubrany w strój taktyczny z solidną wojskową kamizelką kuloodporną i uzbrojony w karabin automatyczny AR-15, zaczął strzelać do przypadkowych ludzi na Rynku Głównym w Krakowie. Zamachowiec zabił sześć osób, 15 ranił, a jak się później okazało, wcześniej zamordował swoich rodziców: 53-letniego ojca, 52-letnią matkę i 21-letnią siostrę.

Filmiki, na których Jakub Kulik oddaje strzały do uzbrojonego po zęby Michała O., a później pada na kolana, wyciąga stazę – opaskę uciskową i opatruje nią własne rany, obiegły media społecznościowe, a wraz z nimi cały świat. W kilka chwil z nieznanego policjanta Kuba stał się rozpoznawalną osobą, najbardziej popularnym stróżem prawa nad Wisłą, człowiekiem będącym na ustach całej Polski.

– Bohater – mówią bez ogródek, prosto z mostu ludzie o Jakubie Kuliku.

Premier Donald Tusk też w sobotę wieczorem napisał na X: „Starszy posterunkowy Jakub Kulik i starszy posterunkowy Artur Morański to prawdziwi bohaterowie. Uratowali prawdopodobnie wiele ludzkich istnień, nie zważając na ryzyko utraty życia. Ich stan jest poważny, ale są pod bardzo dobrą opieką. Cała Polska trzyma za Was kciuki”.

Strażak ochotnik z OSP Leszczyny

Jakub Kulik ma 24 lata. Pochodzi z Bielska-Białej. Kiedy się prześledzi jego dotychczasową drogę, to trudno się dziwić, że zareagował, jak zareagował – nie oglądając się na nic, ruszył na pomoc, w skrajnie trudnej sytuacji postanowił zlikwidować zagrożenie, do końca zachował zimną krew.



FOT. ARKADIUSZ GOLA

Konkretny, zdecydowany, koleżeński i lubiany. Można na nim polegać - tak mówią o Kubie znajomi

– Konkretny, zdecydowany, twardy, koleżeński, lubiany, a teraz jeszcze okazał się bohaterem całej Polski – mówił w niedzielę reporterowi „Dziennika Zachodniego” o starszym posterunkowym Władysław Szypuła, prezes Ochotniczej Straży Pożarnej w bielskiej dzielnicy Leszczyny, gdzie działa (teraz już trochę mniej, bo się przeprowadził) Jakub Kulik.

Na pamiątkowej tablicy z okazji 115-lecia jednostki, wiszącej w remizie OSP Leszczyny znajdującej się przy ruchliwej ul. Żywieckiej, widać młodego, krótko ostrzyżonego chłopaka z lekkim zarostem i w galowym mundurze strażackim. Pod zdjęciem podpis: „dh Kulik Jakub”. W spojrzeniu młodego człowieka widać łagodność, ale i jakąś determinację, zdecydowanie, nieustępliwość.

W rozmowie z PAP prezes Szypuła podkreślał, że dla Kuby służba była wszystkim.

– Wyjeżdżał na akcje. To nasza powinność: mamy chronić, bronić ludzi, dbać o ich bezpieczeństwo, dbać o ich majątek, o ich życie. Takich ludzi najbardziej potrzeba. Jestem dumny, że takiego strażaka mamy u siebie. Kuba jest nadal naszym członkiem – zaznaczył Szypuła.

Swoją przygodę z ochotniczą strażą pożarną Jakub Kulik rozpoczął w wieku 16 lat.

Kuba był solidny i obowiązkowy

O przysłowiowy rzut beretem od remizy OSP znajduje się kościół pw. Chrystusa Króla. To w nim Jakub Kulik był ministrantem.

– Jak byłem wikarym w Leszczynach, to Kuba rozpoczynał swoją karierę ministrancką, najpierw był kandydatem, potem ministrantem, lektorem. Byłem na tej parafii 8 lat i jak odchodziłem, to dalej służył – wspominał na łamach „Gościa Niedzielnego” ks. Jarosław Fijołek, dodając, że mimo iż Kuba nie mieszkał blisko kościoła, to nigdy nie zawalał służby przy ołtarzu.

– To bardzo solidny i obowiązkowy chłopak. Nie pyskował, zawsze to, co miał do zrobienia, robił solidnie, bez problemów – wspominał kapłan.

Uczeń bielskiego LO im. Adama Asnyka

Niedaleko od remizy OSP Leszczyny, niecałe 5 minut jazdy samochodem, na pobliskim osiedlu Złote Łany, znajduje się II Liceum Ogólnokształcące im. Adama Asnyka. Chodził do niego Jakub Kulik.

– Uczyłem Kubę – mówi nam Robert Michalski, nauczyciel w bielskim Asnyku.

O sytuacji z Kubą dowiedział się od znajomej ze szkoły, która do niego zadzwoniła. Nie mógł uwierzyć, że chodzi o tego Kubę. Przecież jeszcze niedawno był ich uczniem.

– Byliśmy jedyną szkołą w Bielsku-Białej, która wprowadziła kierunek ratownictwo, bezpieczeństwo i zarządzanie kryzysowe. W tej klasie znalazł się właśnie Kuba. Wspominam go jako osobę bardzo sympatyczną, zresztą cała klasa była bardzo sympatyczna. Z tej klasy sporo osób zostało ratownikami, policjantami, żołnierzami. Większość z nich już wcześniej była związana z jakimiś działaniami ratowniczymi, Kuba działał w straży pożarnej – opowiada Robert Michalski.

Nie ukrywa, że jest dumny ze swojego ucznia.

– Jak widziałem go w akcji, to uważam, że wykazał się bohaterstwem. Nie każdy potrafiłby stanąć naprzeciwko terrorysty i tak się zachować – mówi Robert Michalski.

Renata Kudłacik uczy w bielskim II LO matematyki, była wychowawczynią Jakuba Kulika przez trzy lata.

– Sympatyczny, skromny, bardzo aktywny, skory do pomocy, angażujący się w życie szkoły. Jak tylko poprosiłam, żeby ktoś w czymś pomógł, to Kuba od razu się zgłaszał – wspomina swojego wychowanka Renata Kudłacik.

eprasa.pl 951eddf438



FOT. JACEK DROST

Robert Mchalski uczył Kubę w klasie o profilu ratownictwo, bezpieczeństwo i zarządzanie kryzysowe



FOT. JACEK DROST

W OSP Leszczyny Jakub Kulik działa od 16. roku życia

Przyznaje, że kiedy dowiedziała się o tragicznych wydarzeniach w Krakowie, była w szoku. Nie wyobrażała sobie, że do czegoś takiego może dojść w Polsce. A jeszcze bardziej nie dowierzała, kiedy koleżanka przysłała jej esemesa, iż to jej wychowanek unieszkodliwił zamachowca. Zaczęła sprawdzać, jak mówi – łączyć kropki i faktycznie okazało się, że to Kuba.

– Kilka razy analizowałam tę końcową scenę. Jestem w szoku. Chciałabym, żeby z tego wyszedł. Wydaje mi się, że ludzie zauważają, że to nie jest zwyczajny czyn, tylko Kuba udaremnił jeszcze coś więcej, co się mogło zdarzyć. Zwyczajny policjant stał się niezwyczajny. Tak go widzę. Kiedy sobie teraz o nim myślę, to uważam, że miał takie predyspozycje – zauważa Renata Kudłacik.

Dyrektorka bielskiego Asnyka Barbara Drwal opowiada, że kiedy dowiedziała się, iż chodzi o Kubę, ich absolwenta, to ogarnęło ją jedno wielkie przerażenie o stan jego zdrowia. Cały czas śledzi informacje napływające ze szpitala. – Naprawdę podziwiam lekarzy. Pracowali pod taką presją – mówi dyrektor Drwal.

Wspomina, że klasa, do której chodził Kuba, była raczej męska. Na pewno charakterystyczne było to, że większość dzieci wybierała tę klasę o profilu ratowniczym świadomie, wielu było w niej aktywistów, różnych wolontariuszy, głównie w straży pożarnej. Wśród nich był właśnie Kuba.

– Wyróżniał się taką umiejętnością świadomego działania w grupie, działaniem zespołowym. To chyba takie cechy, które zaprocentowały w następnych latach – zauważa pani dyrektor.

– Czy miał zadatki na bohatera? – podpytuję.

– Dla mnie, jeśli ktoś służy w ochotniczej straży pożarnej, bez żadnego wynagrodzenia biegnie na złamanie karku, by pomóc, by ratować ludzkie życie, to przykład pięknej służby drugiemu człowiekowi. To jest coś, co człowiek w sobie ma. Wie, że tak trzeba – mówi Barbara Drwal.

– Jestem dumna z Kuby, jak wszyscy w szkole – nie ukrywa Bożena Moczek, woźna w bielskim Asnyku.

Żołnierz elitarnego 18. Batalionu

Kuba skończył bielskiego Asnyka w 2021 roku. Niedługo później trafił do elitarnego 18. Batalionu Powietrznodesantowego, który wchodzi w skład 6. Brygady Powietrznodesantowej w Krakowie.

Oficer prasowy 6. Brygady Magdalena Trzebińska-Gawin poinformowała, że Jakub Kulik rozpoczął służbę w 2022 roku w ramach dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej, następnie został w wojsku na specjalizacji i zaproponowano mu etat.

– Służył w naszej brygadzie przez ponad dwa lata. Od dowódców jego plutonu wiem, że opinia o nim była jak najlepsza. Ważne jest także to, że Jakub Kulik służył na granicy polsko-białoruskiej, dzięki czemu przeszedł szereg szkoleń, które wykorzystał między innymi w sobotę, kiedy było widać jego pracę z bronią i artykułami pierwszej pomocy, gdzie sam założył sobie stazę, która prawdopodobnie uratowała mu życie – powiedziała porucznik Trzebińska-Gawin.

Konkretny, zdecydowany, twardy, koleżeński, lubiany, a teraz jeszcze okazał się bohaterem całej Polski – mówi o Jakubie Kuliku Władysław Szypuła, prezes Ochotniczej Straży Pożarnej w bielskiej dzielnicy Leszczyny

Podkreśliła, że 6. Brygada jest jedną z najbardziej elitarnych w Wojsku Polskim. Przychodzą do niej żołnierze, którzy spełniają wysokie wymagania, jeśli chodzi o sprawność fizyczną i psychiczną.

– Spadochroniarstwo to trudny kunszt. Dlatego obserwując to, co zrobił Jakub Kulik, jesteśmy z niego bardzo dumni. Widać było jego charyzmę i odwagę, co wpisuje się w cały etos 6. Brygady Powietrznodesantowej. Życzymy mu zdrowia – oceniła w krótkich, żołnierskich słowach porucznik Trzebińska-Gawin.

Starszy posterunkowy kontra zamachowiec

Dwa lata temu Jakub skończył służbę w Czerwonych Beretach. Zaczął inną służbę – w policji. To właśnie jako policjant starszy posterunkowy w sobotnie popołudnie stanął oko w oko z zamachowcem, swoim rówieśnikiem, 24-letnim Michałem O., który otworzył ogień do niewinnych ludzi.

W wyniku odniesionych obrażeń Michał O. zmarł w poniedziałek nad ranem. Jakub Kulik walczy o życie. Został wybudzony ze śpiączki farmakologicznej. Jego stan jest ciężki. W szpitalu przebywa też jego kolega z patrolu Artur Morański.

Za swoją bohaterską postawę Kulik został odznaczony przez prezydenta Karola Nawrockiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, ustanowionym w 1921 roku i nadawanym za wybitne zasługi w ramach służby państwu i społeczeństwu. Z kolei Towarzystwo Jana Karskiego przyznało obu policjantom Medal 75-lecia Misji Jana Karskiego za – jak napisano w przesłanym PAP komunikacie – „ich bezprzykładne oddanie policyjnej służbie publicznej w ratowaniu życia i zdrowia z narażeniem ich własnego w pościgu i ujęciu sprawcy bestialskiego aktu terrorystycznego na Rynku Głównym w Krakowie".



FOT. JACEK DROST

Renata Kudłacik mówi, że Kuba zawsze był chętny do pomocy



FOT. JACEK DROST

Jakub Kulik skończył II LO im. Adama Asnyka w Bielsku-Białej

eprasa.pl 951eddf438

ZAMACH W KRAKOWIE

To on oddał pierwszy strzał, który powalił zamachowca

Starszy posterunkowy Artur Morański, który został ciężko ranny, pochodzi z Powroźnika koło Muszyny. Mieszkańcy jego rodzinnej miejscowości jednoczą się w modlitwie. To on oddał pierwszy strzał do zamachowca. Jedne z pierwszych słów, które wypowiedział po przebudzenie było pytanie „A Kuba żyje?" Swego czasu grał wyczynowo w piłkę nożną, dobrze pamiętają go w klubie sportowym Poprad Muszyna. I chcą bohatera uhonorować w specjalny sposób

Joanna Mrozek, Artur Bogacki

To Artur Morański oddał pierwszy strzał, który powalił na ziemię zamachowca. Został dwukrotnie postrzelony przez napastnika. Doznał ran płuca i ręki. Przeszedł 12-godzinną operację. W poniedziałek odzyskał przytomność.

Do policji wstąpił w 2024 r. Jest starszym posterunkowym w ogniwie wywiadowczo-patrolowym Komisariatu Policji I w Krakowie. Jego przełożony, zastępca komendanta komisariatu podinsp. Rafał Wełna, podkreślał, że zarówno Morański, jak i jego partner z patrolu Jakub Kulik są cenieni za profesjonalizm i zdecydowane działanie.

– Wielokrotnie spływały do mnie pozytywne sygnały na temat ich służby – zaznaczył.

W ub. sobotę to właśnie oni znajdowali się najbliżej miejsca ataku i mieli status wolnego patrolu, gdy otrzymali informację o strzelaninie na Rynku Głównym. Wjechali na plac od strony ul. Siennej i ruszyli w pościg za napastnikiem uzbrojonym w broń automatyczną. Podczas interwencji doszło do wymiany ognia. – To była kwestia sekund na podjęcie jakiejkolwiek decyzji. Na nagraniach czarno na białym widać, że sposób ich działania był jak najbardziej poprawny. Czapki z głów dla tych policjantów – ocenił podinsp. Wełna.

Po przebudzeniu zapytał o swojego kolegę: A Kuba żyje? Pytał też o żonę, którą poslubił kilkanaście miesięcy temu. Teraz spodziewają się przyjścia na świat dziecka, a ciężarna żona czuwa przy jego szpitalnym łóżku.

Muszyna się modli

Artur Morański ma 27 lat, pochodzi z Powroźnika. To mała miejscowość koło Muszyny. Ponad rok temu wziął ślub i przeprowadził się do Krakowa. W Powroźniku mieszkają jego rodzice i rodzeństwo. Cała wioska jednoczy się w modlitwie w intencji rannych i ich rodzin.

– Wczoraj wieczorem poszłam do kościoła się pomodlić w intencji ofiar i rannych, jeszcze nie wiedząc o tym, że to dotyczy naszego mieszkańca. Dzisiaj rano była już msza w tej intencji, myślę że na wszystkich nabożeństwach mieszkańcy będą także modlić się w tej intencji – mówiła nam w niedzielę rano Krystyna Cieśla, sołtys Powroźnika.

– Gdyby nie ta pełna poświęcenia i odwagi interwencja, ofiar byłoby znacznie więcej. Z naszej strony należy się ogromny szacunek i wdzięczność dla tych młodych ludzi, którzy bez wahania położyli na szali swoje zdrowie i życie, aby ratować życie innych. Tylko nieliczni, przy takim bezpośrednim zagrożeniu życia (determinacja sprawcy i nieproporcjonalne uzbrojenie) byliby zdolni do takiego poświęcenia i heroizmu. Życzmy im szybkiego powrotu do zdrowia i pamiętajmy o ich odwadze – napisał z kolei burmistrz Muszyny Jan Golba.

„Jesteśmy z niego bardzo dumni"

Artur Morański swego czasu grał wyczynowo w piłkę nożną, dobrze pamiętają go klubie sportowym Poprad Muszyna. I chcą bohatera uhonorować w specjalny sposób.

– Po tych wydarzeniach w Krakowie dostałem informację, że jeden z policjantów był z naszej gminy. Gdy podano nazwisko, od razu skojarzyłem, że to może być nasz były zawodnik. Poprosiłem kolegę, który od wielu lat prowadzi kronikę klubu, o sprawdzenie i to się potwierdziło – mówi Stanisław Sułkowski, wieloletni prezes Popradu. – Mamy wycinki z gazet, spisane wszystkie mecze, w których grał. Nawet znaleźliśmy podpisaną przez Artura deklarację gry amatora (dokument wymagany do rejestracji jako piłkarza bez kontraktu – przyp.). Jego żona stąd pochodzi, jej tato jeździł u nas klubie autokarem. Wielu ludzi go pamięta. Dzwonili do mnie byli zawodnicy i pytali, czy to był ten Artur, z którym kiedyś grali. Dla nas w Popradzie, dla całej społeczności, to wielkie wyróżnienie, że taki człowiek stąd pochodzi. Jesteśmy z niego bardzo dumni, dla nas jest wielkim bohaterem.



FOT. FOT. ARCH. PPG/ JAN GOLBA FB

Artura Morańskiego czeka jeszcze długa rehabilitacja, lekarze musieli zrekonstruować przestrzeloną rękę

Morański piłkarzem Popradu było od sezonu 2013-14, występował na pozycji napastnika, a – z racji warunków fizycznych – zaczynał jako obrońca. W maju 2016 r. strzelił pięć goli w meczu w rozgrywkach juniorskich z Budowlanymi Jazowsko. W barwach klubu z Muszyny zaliczył też występ w III lidze, w marcu 2016 roku zdolny junior dostał szansę w zespole seniorów, wchodząc na końcówkę meczu w Krakowie z Hutnikiem. Grał też później w Muszynie w IV lidze (do 2020 r.), a następnie w Olimpiku Powroźnik.

Ostatnie oficjalne spotkania rozegrał we wrześniu 2021 r., w sądeckiej klasie A – w tym ostatnim klubie.

Potem poświęcił się szkole policyjnej i pracy w służbie. Od dwóch lat pracuje w Komisariacie Policji I w Krakowie.

„To właśnie cały Artur"

Jak mówi prezes Sułkowski, Morański w trudniej życiowej chwili pokazał cechy, z których dał się poznać na boisku.

– Pamiętam ten mecz na Hutniku, gdy wszedł na zmianę, miał tylko 17 lat. Wtedy już trenował z seniorami, był dobrze zapowiadającym się zawodnikiem. Miał dobre warunki fizyczne, był wysoki, miał świetną koordynację ruchową– wylicza prezes. – Pamiętam go jako solidnego, zdyscyplinowanego chłopaka, oddanego temu, co robił. Gdy dowiedziałem się, że to on brał udział ze swoim kolegą w tej akcji w Krakowie, to pomyślałem sobie: to właśnie cały Artur – zawsze zaangażowany, odważny, zdeterminowany" . Wiem, że nie ma co tego porównywać do gry w piłkę, ale podobne cechy pokazywał na boisku. Wielki szacunek dla niego za to, co zrobił. W piłce był profesjonalistą, nie opuszczał treningów. Prywatnie jako młody człowiek był dobrze ukształtowany, nigdy w klubie nie było z nim problemów. Przede wszystkim był bardzo lubiany w zespole. Jeżeli chodzi o jego osobowość czy charakter, to nikt nigdy złego słowa nie mógł powiedzieć.

Specjalny mecz dla Artura

Poprad chce uhonorować bohatera z Muszyny, zorganizować specjalny mecz.

– Mam nadzieję, że opatrzność będzie nad nim czuwała, wszystko dobrze się skończy i on wróci do pełni zdrowia. Chcieliśmy go w jakiś sposób uhonorować, zaprosić na stadion w Muszynie. Mam takie marzenie, żeby zorganizować u nas specjalny mecz przyjaźni, z drużyną z ekstraklasy, w którym Artur mógłby wystąpić. Żeby przypomniał sobie czasy, jak kopał u nas piłkę i żeby pokazać, jak bardzo cenimy to, co zrobił jako policjant w Krakowie – dodaje Sułkowski.

eprasa.pl 951eddf438

ZAMACH W KRAKOWIE

Osłonił własną żonę, sam został ciężko ranny. Nie może nawet mówić

Szaleniec z bronią wpadł swoim czarnym Subaru w samochód strażaka Tomasza Młynarczyka i jego żony Kingi. Jak mówią jego koledzy strażacy, Tomek stał się znany w całym kraju jako „ten z białego Opla". To on stanął z zamachowcem niemal twarzą w twarz. Trafiony kulą, doznał poważnych obrażeń żuchwy. Czeka go rekonstrukcja twarzoczaszki

Barbara Ciryt

Na środku remizy OSP Olszowice w gminie Świątniki Górne strażacy ustawili buty, na nich zwinięte spodnie gotowe do ubrania oraz hełm strażacki z czerwonym napisem „Tomek". Wszystko tak, jakby miał wskoczyć w to i jechać do akcji. Tak bardzo czekają na niego.

Strażacy przyszli ze wsparciem, dzieci z laurkami

Strażacy z OSP Olszowice, młodzież, dzieci, społeczność tej miejscowości i gminy Świątniki Górne wyrażają solidarność z druhem Tomaszem Młynarczykiem. Wszyscy wiedzą, że zwykle to on biegł na pomoc innym.

Teraz to on jej potrzebuje. W ub. wtorek społeczność wioski postanowiła wyrazić wsparcie dla swojego strażaka, zapewnić, że chcą mu pomóc w finansowaniu rehabilitacji, wspierać dobrym słowem i modlitwą. Zapewniają, że czekają na niego w Olszowicach, w remizie.

Prezes OSP druh Andrzej Pyrdek, naczelnik Zbigniew Pietrzyk, wicenaczelnik Bartłomiej Matoga, skarbnik Piotr Bacior koordynują działania na rzecz pomocy dla Tomka.

Ze wsparciem przyszło mnóstwo dzieci, z którymi Tomasz Młynarczyk prowadził warsztaty, szkolenia. Przyniosły plakaty, laurki z podziękowaniami dla swojego druha instruktora i zapewnieniem, że czekają.

– On jest naszym kolegą, uczył nas, jak być strażakiem. Wspierał nas. Teraz mamy jedną prośbę: Wróć do nas, Tomku! – mówi Karolina Bacior, jedna z dziewczynek z Młodzieżowej Drużyny Pożarniczej w Olszowicach.

Dramat na Stradomiu

Była sobota, 7 listopada, kilka minut po godz. 15, gdy Tomasz Młynarczyk z niedawno poślubioną żoną Kingą jechali ze swojego mieszkania w Krakowie (bo tam zamieszkali po ślubie) do remizy w Olszowicach. Obydwoje mieli prowadzić zajęcia dla dzieci i młodzieży z tutejszej drużyny pożarniczej, żeby przygotować najmłodszych do zawodów. Nie dojechali.

Gdy byli na ul. Stradomskiej, w ich białego Opla uderzyło czarne Subaru zamachowca uciekającego przed policją. Tomek tego nie wiedział, wysiadł z samochodu. Wtedy wysiadł też bezwzględny zamachowiec, który strzelał do jadących za nim policjantów. Jednak kule uderzyły też w strażaka.

– Gdy Tomek wysiadł ze swojego samochodu, zorientował się, że człowiek z Subaru ma karabin i strzela. Zdążył wsiąść z powrotem do swojego samochodu. Powiedział żonie Kindze, że jest w niebezpieczeństwie, żeby kładła się na podłodze auta. Sam położył się na nią, żeby osłonić własnym ciałem żonę. Jednak kule go dosięgnęły – opowiada Bartłomiej Matoga, wicenaczelnik OSP Olszowice, choć na wspomnienie tego, co przeszedł jego kolega, łamie mu się głos.

Przeżył. Czeka go rekonstrukcja twarzoczaszki

Strażacy wiedzą, że zamachowiec trafił Tomka w głowę, uszkadzając czaszkę i twarz. Nie wiedzą dokładnie, którędy poszła kula, ale wiedzą, że odłamki rozprysnęły się w okolicy ust.

– Jest obecnie na oddziale intensywnej terapii. Tylko rodzina jest do niego dopuszczona. Został wybudzony ze śpiączki. Poznaje najbliższych, którzy do niego przychodzą. Wie, co się stało. Ma całą głowę zabandażowaną, nie może mówić, ale może trzymać długopis czy marker i tak właśnie pisząc pojedyncze słowa, porozumiewa się z żoną, która wciąż czuwa przy szpitalnym łóżku – informuje Bartłomiej Matoga.

Strażak z Olszowic będzie wkrótce przeniesiony na oddział chirurgii. Jak mówią jego koledzy, teraz przed nim długa i trudna droga: rekonstrukcja twarzoczaszki, leczenie i specjalistyczna rehabilitacja.

Pomoc innym to ważna część jego życia

Jego koledzy strażacy mówią, że Tomasz Młynarczyk od dziecka uczył się pomagać. Jako druh OSP uczestniczył w działaniach ratowniczo-gaśniczych i niósł pomoc ludziom w najtrudniejszych chwilach ich życia. Jest związany ze strażą pożarną od 12. roku życia.

– Gdy był w młodzieżowej drużynie pożarniczej, zanim jeszcze mógł wyjeżdżać na akcje, to słysząc syreny alarmowe, stał przy remizie i patrzył, jak wyjeżdżają samochody strażackie. Zostać strażakiem, nieść pomoc, to było jego wielkie marzenie. Ma też marzenie zostania strażakiem zawodowym i chcemy go w tym wspierać – mówi Piotr Bacior, skarbnik w OSP Olszowice.

Jego zaangażowanie nie kończyło się wraz z powrotem z akcji. Razem z żoną Kingą opiekują się Młodzieżową Drużyną Pożarniczą i angażują w życie lokalnej społeczności. Strażacy podkreślają, że młodszym przekazywał, co znaczy odpowiedzialność za drugiego człowieka. I pokazał to też podczas ataku zamachowca. Żonę osłonił własnym ciałem.

Strażacy chcą wspierać ze wszystkich sił swojego kolegę. Mówią, że zrobią, co w ich mocy, żeby nie rezygnował ze swoich marzeń i pasji. Jednak nie wszystkie będzie mógł od razu realizować.

– Chodzi o to, że Tomek działa w orkiestrze. Gra na trąbce i po uszkodzeniu twarzy tę pasję będzie musiał na razie odsunąć w czasie – dodają strażacy.

Fundusze dla Tomka na rehabilitację

Teraz cała społeczność Olszowic wie, że ich druh potrzebuje pomocy, wsparcia ludzi, którzy pomogą mu przejść przez to, co przed nim. Leczenie, rekonstrukcja twarzoczaszki, specjalistyczna rehabilitacja. Nie wiadomo, ile to będzie kosztować, ale strażacy mocno się przygotowują. Zbierają pieniądze. Chcą od początku uczestniczyć w powrocie Tomka do sprawności.

– Chcemy, żeby on i jego bliscy mogli skupić się na zdrowieniu, mając wsparcie w pokrywaniu związanych z nim kosztów – podkreślają.

Początkowo planowali zebrać 200 tys. zł, co udało się w kilka godzin. Jednak to za mało na skomplikowane leczenie i specjalistyczną rehabilitację. Powiększyli zbiórkę do 4 mln zł.

Koledzy strażacy chcą być przy Tomku i jego rodzinie także wtedy, gdy minie pierwsza fala poruszenia, a rozpocznie się długi powrót do zdrowia.

Zbiórka trwa, pieniądze można wpłacać na https://zrzutka.pl/druhtomek



FOT. FOT. BARBARA CIRYT, ARCHIWUM

Koledzy Tomka chcą mu pomóc nie tylko teraz, ale również wtedy, gdy będzie przebiegała ciężka rehabilitacja

eprasa.pl 951eddf438

WYWIAD

Dr Katarzyna Korpolewska: Co po tragedii w Krakowie powiedzieć dzieciom o ludziach?

– Sami nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, że nie możemy ochronić dzieci przed wszystkim. Dlaczego ten człowiek zabił? Czy ci ludzie cierpieli? Dziecko może zadać takie pytania przy kolacji, kiedy dowie się o strzelaninie w Krakowie od kolegów albo z TikToka. Od czego zacząć rozmowę i kiedy rodzic może po prostu odpowiedzieć „Nie wiem” – mówi psycholożka, dr Katarzyna Korpolewska

Anita Czupryn

W sobotę 7 listopada jedni poszli na krakowski Rynek na spacer, inni, żeby się spotkać, generalnie, by miło spędzić czas. Nagle padły strzały. Co się dzieje z naszym poczuciem bezpieczeństwa, kiedy tragedia dotyka ludzi, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu i czasie?

W takim momencie uświadamiamy sobie, że niestety nie wszystko jest pod kontrolą, że nie na wszystko mamy wpływ. Nie wszystko da się zaplanować. Z jednej strony, gdybyśmy myśleli rozsądnie, wszyscy powinniśmy wiedzieć, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć, kiedy urwie się gałąź drzewa, kiedy uderzy piorun albo kiedy wydarzy się inne nieszczęście, które może być dla nas bardzo groźne. Ale myślę, że w tego typu ataku jest coś gorszego. Orientujemy się, że niebezpieczeństwo może nam grozić ze strony drugiego człowieka. A przecież mijamy ludzi na co dzień. Więc uświadamiamy sobie, że nie na wszystko mamy wpływ, ale też, moim zdaniem, dzieje się coś bardziej niebezpiecznego. Podważone zostaje nasze zaufanie do ludzi w ogóle. Okazuje się, że to ze strony innego człowieka może nam grozić to, co najgorsze.

Po strzelaninie w Krakowie ogłoszono żałobę. Wiadomości o tym, co się stało, poruszyły ludzi w całym kraju. Dlaczego takie wydarzenia tak bardzo nami wstrząsają, nawet jeśli jesteśmy od nich daleko, nawet jeśli nie znamy ofiar i nie byliśmy bezpośrednimi świadkami? Bo myślimy: „Ja też mogłam tam być, moje dziecko mogło tam być”?

To po pierwsze. A po drugie pojawia się też taka myśl: „Ojej, przecież to się może zdarzyć ponownie”. Bo nie wiemy, co się dzieje w głowach ludzi. Większość ludzi, których spotykamy, wydaje nam się zwyczajna, przyjazna. Zresztą bardzo wiele osób w tej dramatycznej sytuacji zachowało się świetnie, z ogromną otwartością. Ludzie spieszyli z pomocą, poczuli się ze sobą solidarni. Ale jednak jedna osoba sprawiła, że mamy tyle ofiar. I zaczynamy się zastanawiać: „A może mnie też coś grozi? A może nie iść na jarmark świąteczny? A może nie iść na Marsz Niepodległości? A może unikać galerii handlowych?”. Niestety pojawiają się też takie myśli. Zaczynam się zastanawiać, co mogę zrobić, żeby coś takiego nie spotkało mnie ani moich bliskich.

Czego się po takim wydarzeniu bardziej boimy? Bardziej samej przemocy czy tego, że życie jest nieprzewidywalne?

Myślę, że obu rzeczy naraz. Po różnego rodzaju klęskach, takich jak tsunami, powódź czy pożar, owszem, wzrasta nasze poczucie zagrożenia. Wzrasta też niepewność co do tego, czy możemy coś zaplanować, czy możemy tak po prostu czuć się bezpiecznie. Natomiast tutaj, moim zdaniem, dochodzi jeszcze coś takiego jak czynnik ludzki. Ktoś świadomie to zrobił, ktoś do tego doprowadził. To nie był grom z jasnego nieba. To był człowiek, konkretna osoba z imienia i nazwiska, z określoną twarzą, w określonym wieku, z określonej rodziny. No i zaczynamy myśleć: „A może wokół nas są też tacy ludzie, którym by przyszło do głowy zrobić coś tak potwornego? Skąd mogę wiedzieć, czy na przykład w Warszawie albo w Poznaniu też się ktoś taki nie pojawi?”. Myślę, że w naszej niedawnej historii mamy sporo podobnych przypadków. Było zabójstwo prezydenta Adamowicza, niedawno były ataki w szkołach. Za tym wszystkim stoją ludzie. Konkretni ludzie, z których nagle wyszły najgorsze instynkty pod wpływem jakiejś niezrozumiałej nienawiści.

Zauważyłam wśród znajomych, że po tym, co się stało w Krakowie, niektórzy z nich nie mogli się oderwać od wiadomości. Czytali wszystkie doniesienia, po kilka razy oglądali te same nagrania. Dlaczego tak trudno oderwać się od relacji z tragedii?

Myślę, że to bardzo charakterystyczne, że po takich zdarzeniach ludzie tkwią przed telewizorami. Dlaczego? Bo przejmują się tym, co się stało. I swoje emocje odreagowują w ten sposób, że przeżywają to, co jest pokazywane na ekranie. Nie są obojętni, nie są bierni, ale też nie zostają sami ze swoim napięciem, niepokojem. Słuchając tego, co mówi prowadzący wiadomości, razem z dziennikarzem, który relacjonuje zdarzenia na miejscu, mogą przeżywać te emocje. Powiedziałabym, że to nawet nie jest zły znak. Przeżywanie tego w ten sposób sprawia, że czujemy się w jakimś sensie częścią społeczności, a w trudnych chwilach dobrze jest być z ludźmi. Czujemy się trochę bezpieczniej, kiedy jesteśmy wśród tych, którzy też to przeżywają. A przecież trudno też w takiej chwili wyłączyć telewizor, przyjąć do wiadomości, że coś takiego się zdarzyło, i po prostu zająć się swoimi sprawami. To by oznaczało, że nie jesteśmy wrażliwi na to, co się stało, albo że tłumimy w sobie to, co przeżywamy. To nie byłoby dobre.

Co z dziećmi? Rodzice mogą wyłączyć telewizor, mogą przy dziecku nie rozmawiać o tragedii, a ono i tak się dowie, bo ma kolegów, ma TikToka, ma internet. Co może zrobić rodzic, który wie, że nie uchroni dziecka przed wiadomością o przemocy, ale chciałby je uchronić przed lękiem?

I tu, moim zdaniem, jest pewien problem. Myślę, że sami nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, że nie możemy ochronić dzieci przed wszystkim. Dziecko musi wiedzieć, że zdarzają się akty przemocy. Tyle że trzeba mu o tym powiedzieć tak, żeby nie wywołać lęku. Wytłumaczyć, że w takich sytuacjach trzeba się chronić, schować, a czasem po prostu unikać sytuacji, w których coś nam grozi. To też jest moment, w którym warto dziecku powiedzieć, że w sytuacji, kiedy dzieje się coś strasznego, trzeba słuchać poleceń. Dziecko musi wtedy wiedzieć, że ma się do nich zastosować. Podaję moim wnukom taki przykład: kiedy tonie okręt, wszyscy muszą słuchać tego, co mówi kapitan. Nie ma czasu na dyskusję, na zastanawianie się, czy mi się to podoba, czy nie. Wszyscy słuchamy kapitana. I to jest być może jedna z lekcji. Są takie sytuacje, w których trzeba się podporządkować. Kiedy coś się dzieje, można z ciekawości chcieć popatrzeć, co to takiego. Ale w sytuacji zagrożenia trzeba myśleć przede wszystkim o tym, jak zadbać o własne bezpieczeństwo, i w razie potrzeby się ukryć. Myślę też, że warto rozmawiać, szczególnie z trochę starszymi dziećmi, o tym, co tak naprawdę leży u podstaw tego typu zbrodni, czyli o nienawiści. O tym, z czym mogą się zetknąć w mediach, w internecie, ale też wśród rówieśników czy innych ludzi. O tym, że nie można się poddawać fali nienawiści. Że jeśli ktoś jest zły, sfrustrowany, może znaleźć dla swoich emocji ujście gdzie indziej. Jestem przekonana, że bardzo wielu nastolatków, mówiąc potocznie, nakręca się, bo nie znajduje ujścia dla swojej energii i dla swoich emocji w czymś pozytywnym. Czasem warto byłoby im pokazać, co mogliby zrobić, co przyniosłoby korzyść im samym, ale też innym ludziom. Co można zrobić w zamian, zamiast poddawać się nienawiści. Bo nienawiść nie jest siłą, która prowadzi do czegoś konstruktywnego.



FOT. ANDRZEJ BANAŚ

Katarzyna Korpolewska: W takim momencie uświadamiamy sobie, że niestety nie wszystko jest pod kontrolą

Jak zacząć taką rozmowę? Powiedzieć dziecku, co się wydarzyło w Krakowie, nawet jeśli o to nie pyta? Czy poczekać, aż samo przyjdzie z pytaniami?

To pewnie zależy od wieku dziecka. Jeśli mówimy o dzieciach

eprasa.pl 951eddf438

w wieku przedszkolnym, które mogą być zupełnie nieświadome tego, co się stało, to ja bym raczej takiej rozmowy nie zaczynała. Myślę, że czterolatek jest jeszcze trochę za mały, żeby w ogóle zrozumieć istotę takiego zdarzenia. Ale starszemu dziecku, moim zdaniem, warto o tym powiedzieć. Jest bardzo prawdopodobne, że siedmiolatek czy ośmiolatek usłyszy w szkole, jak na ten temat rozmawiają nauczyciele, jak rozmawiają starsi uczniowie. Więc warto powiedzieć w domu: „Wiesz, w Krakowie doszło do okropnego zdarzenia". Opowiedzieć o tym swoimi słowami, obserwując, jak dziecko reaguje. I powiedzieć: „My tutaj w domu, ty w szkole, w naszym mieście jesteśmy bezpieczni, ale musimy być uważni. Będziemy zwracać uwagę na to, żeby nie narażać się na niebezpieczeństwo".

Dzieci potrafią pytać wprost: „Dlaczego ten człowiek zabił? Czy był zły? Czy ci ludzie cierpieli?". Jak odpowiadać na tak bezpośrednie pytania dziecka, kiedy sami jako rodzice nie znamy wszystkich odpowiedzi?

Myślę, że droga jest prosta. Rodzice mówią tyle, ile wiedzą. I mówią w sposób naturalny. Czy ludzie postrzeleni cierpieli? Tak. Każdy, kto ma ranę, cierpi. Dlaczego on to zrobił? My tego nie wiemy.

Po czym poznać, że dziecko przeżywa lęk, którego nie potrafi nazwać?

Po zmianie w zachowaniu. Dziecko może być bardziej milczące, dziecko może się też wolniej poruszać. Ale może być też wręcz przeciwnie. Może być nagle nadaktywne, złe, agresywne, humorzaste, jak to mówią rodzice. Wszystko na nie. Coś się nagle zmienia. Wtedy warto porozmawiać o tym, co się dzieje. Zapytać: „Coś cię niepokoi? Dlaczego tak krzyczysz? Dlaczego rzucasz zabawkami? Coś się stało? Porozmawiaj ze mną o tym". Myślę, że warto też powiedzieć dziecku, że w domu, przy rodzicach, jest bezpieczne. To warto podkreślać. Bo dziecko musi mieć taką oazę bezpieczeństwa, nawet jeśli nie da się mu tego bezpieczeństwa zagwarantować w stu procentach. Dziecko musi mieć poczucie, że jest na ziemi miejsce, w którym może poczuć, że nic złego mu się nie stanie. I myślę, że warto o tym z dziećmi rozmawiać.

Nastolatki trzymają fason. Czasem reagują czarnym humorem, przesyłają sobie memy, żartują nawet ze bardzo strasznych rzeczy. Czy to jest ich sposób na radzenie sobie z emocjami, czy już zobojętnieli na przemoc?

Jeśli ktoś traktuje przemoc jak coś zwyczajnego, to jest to znak, że sam nie czuje się do końca szczęśliwy. Moim zdaniem w tym czarnym humorze, w przesyłaniu sobie nawzajem drastycznych zdjęć, w żartowaniu o sytuacji naprawdę tragicznej jest sporo obrony, wyparcia: „To mnie nie dotyczy. Mogę sobie z tego żartować, bo to jest daleko". I tutaj też, myślę, warto rozmawiać o tym, że jednak stała się tragedia. Z nastolatkami trzeba rozmawiać poważnie, bo akurat od nastolatków możemy już oczekiwać, że powiedzą nam o kimś, kto zachowuje się dziwnie w klasie czy w grupie kolegów i u kogo być może coś niepokojącego rodzi się w głowie. Powinniśmy być coraz bardziej wyczuleni na to, że w głowie kogoś, kto jest cichy, wycofany, też może się pojawiać coś, co być może jest skierowane przeciwko innym. I to jest właśnie paradoks: nastolatek nie sprawiający kłopotów, może mieć czarne myśli.

Rodzice często ostrzegają dzieci przed obcymi: „Z obcymi nie rozmawiajcie". Czy dziecko nie zrozumie tego jako „Nikomu nie ufaj, uważaj na wszystkich"? Jak uczyć ostrożności, żeby nie wychować dziecka w podejrzliwości?

To jest, myślę sobie, w ogóle pytanie o to, jakiej filozofii życia chcemy uczyć ludzi.

Starałam się przekazywać swoim dzieciom, że świat jest piękny, a ludzie są wspaniali.

Nie zawsze jest piękny i nie wszyscy ludzie są wspaniali. Świat jest piękny z małymi wyjątkami. Ludzie są wspaniali, ale też z małymi wyjątkami. Nie wszystkim można ufać. I wydaje mi się, że żyjemy w tej chwili w takich czasach, kiedy warto mówić o tym wprost: nie ufaj wszystkim. Po prostu. Ale z drugiej strony bądź otwarty wobec tych, których znasz, którzy sprawdzili się jako twoi znajomi, o których sporo wiesz. Tym ludziom możesz ufać. Wśród nich możesz czuć się bezpiecznie. Ale to nie znaczy, że mamy być otwarci wobec wszystkich. Sama pamiętam, że kiedy moja córka chodziła jeszcze do podstawówki, prowadziłam dla tych małych dzieciaków warsztaty. Mówiłam im, że świat jest pełen dobrych ludzi, ale wśród nich zdarzają się złe osoby. I dlatego trzeba być czujnym. Uczyłam wtedy te dzieci w drugiej klasie: „Jeżeli do windy wsiada z tobą ktoś, kogo nie znasz, cofnij się. Niech pojedzie, a ty pojedziesz tą windą, kiedy wróci".

W wielu amerykańskich szkołach dzieci ćwiczą, jak się zabarykadować w sali lekcyjnej w razie zagrożenia. Czy warto uczyć dzieci konkretnych zachowań na wypadek takich sytuacji? Jak je tego uczyć? Czy takie rozmowy nie potęgują strachu?

Moim zdaniem warto uczyć konkretnych zachowań. Właśnie takich: jeżeli ktoś na ulicy o coś cię prosi, na przykład żebyś gdzieś z nim poszedł, odmów. Powiedz „nie". Nie musisz mówić nic więcej. Powiedz „nie", odwróć się i idź w stronę innych ludzi. To jest bardzo konkretne zachowanie, ale moim zdaniem warto uczyć dzieci, żeby potrafiły się obronić przed zagrożeniem. Jeżeli słyszysz strzały, schowaj się, uciekaj. To też jest bardzo konkretne zachowanie. Myślę, że po tych ostatnich atakach również w szkołach zostaną podjęte takie tematy i dzieci będą się uczyć, co mają zrobić, gdyby się pojawiło zagrożenie. Z jednej strony może to wywołać lęk. Ale z drugiej strony trzeba dzieciom powiedzieć wprost, że to jest po to, żeby były bezpieczne. „Mówimy ci o tym dlatego, żebyś był bezpieczny".

Wiem, że po tych atakach nożowników w szkołach wielu rodziców nie posłało dzieci na lekcje. Niektórzy młodzi ludzie skwapliwie i z zadowoleniem z tego skorzystali. Teraz, po tragedii w Krakowie, dziecko może powiedzieć: „Nie chcę jechać na żadną szkolną wycieczkę. Nie chcę iść na imprezę ani tam, gdzie jest dużo ludzi". Co mu powiedzieć? Uszanować lęk czy delikatnie zachęcać, żeby wróciło do tego, co robiło wcześniej?

To zależy od tego, co nim kieruje. Przede wszystkim trzeba zapytać: „Dlaczego? Dlaczego nie chcesz tam iść? Dlaczego nie chcesz jechać na wycieczkę? Dlaczego nie chcesz iść na szkolną dyskotekę?". Po prostu trzeba dopytać. Być może chodzi o coś zwyczajnego: „Nie umiem tańczyć" albo „Pokłóciłem się z kimś w klasie i dlatego nie chcę jechać". I o tym można pogadać. Jeżeli wyjaśnienia są niespójne, można zapytać wprost: „Boisz się czegoś? O co chodzi?". I spróbować dojść do sedna. Myślę, że każdy rodzic, który ma dobry kontakt z dzieckiem, zna swoje dziecko, wyczuje w rozmowie, co się dzieje. A jeśli dziecko rzeczywiście czuje się zagrożone, może warto porozmawiać nie tylko z tym jednym moim ukochanym potomkiem, ale też z całą grupą, w klasie. Zapytać: „Co zrobimy, żeby na wycieczce wszyscy mogli się czuć dobrze i bezpiecznie?".

Wychowywałam swoje dzieci w przekonaniu, że ludzie są dobrzy, że innym należy pomagać, warto być życzliwym i uczciwym. A tu dziecko dowiaduje się, że ktoś strzelał do przypadkowych ludzi. Jak pogodzić te dwie rzeczy? Co powiedzieć dziecku o tym, że istnieje zło i że może się ono kryć w drugim człowieku?

Moim zdaniem trzeba mówić prawdę. Bycie życzliwym, bycie pomocnym to jedno, ale są wśród nas źli ludzie, z różnych powodów. Może to wynikać z różnych problemów, z tego, co przeżyli wcześniej, z tego, że są chorzy, że mieli zły przykład albo wpadli w towarzystwo, które podsuwa im nie najlepsze wzorce. Powody mogą być różne, ale źli ludzie istnieją. Nie można tworzyć na użytek dziecka utopii, że świat jest wspaniały. Nie jest. Zagrożenia istnieją i trzeba o tym mówić szczerze. Przy czym moim zdaniem warto zwrócić uwagę na to, jak się o tym mówi. Mówić tonem osoby, która sama czuje się bezpiecznie, jest silna i pewna siebie. Żeby nie budzić w dziecku lęku, tylko powiedzieć: „Tak jest, tak się zdarza". W lesie mamy fantastyczne grzyby, ale jest też bardzo dużo grzybów trujących. Musimy uważać na to, co zbieramy, żeby sobie nie zrobić krzywdy. I są ludzie, którzy po prostu chcą oszukać, skrzywdzić, znaleźć jakieś ujście dla swojej agresji. I przed nimi trzeba się bronić. Ale też zobacz, co się zdarzyło w Krakowie. O tym również można mówić dzieciom, czy innym ludziom – jeden człowiek dokonał strasznej zbrodni, ale zobacz, byli też policjanci, którzy ryzykowali własnym życiem, żeby chronić innych. Byli tacy, którzy pomagali rannym. Czyli tak naprawdę wokół było bardzo dużo dobrych ludzi. Warto podać ten przykład, bo on też pokazuje skalę. Nie chodzi o to, żeby być nieufnym w ogóle, tylko żeby wyłapywać te jednostki, tych pojedynczych ludzi, którzy mogą nam zrobić krzywdę. Ty naprawdę uczyłaś swoje dzieci, że ludzie są dobrzy?

Naprawdę.

Ja od samego początku uczyłam moją córkę, że wśród dobrych ludzi mogą się pojawić źli ludzie i od nich trzeba uciekać. Powiem ci, że po warsztatach, które prowadziłam w drugiej klasie, zdarzyły się dwie rzeczy. W jednym przypadku dziewczynka na klatce schodowej odmówiła wejścia do windy z mężczyzną, którego nie znała. Całe szczęście, bo później się okazało, że dwa bloki dalej próbował napaść na inną dziewczynkę. A innym razem ktoś próbował wyprowadzić dziecko ze szkolnej szatni. Rano, w szkole, wyobraź sobie. Dzieci podniosły taki raban, że przybiegła woźna, a mężczyzna uciekł. Moja córka Karolina chodziła do pierwszej klasy podstawówki, kiedy dziewczynkę z jej szkoły uprowadzono na Stadionie Dziesięciolecia. Rodzice zabrali ją na zakupy. Wiesz, sobota, a tam był dziki tłum, bo był jarmark. Trudno było się przebić. Po trzech dniach cała szkoła mówiła o tej dziewczynce, która na szczęście się odnalazła. Ale wszystkie dzieci o tym wiedziały. W tej samej dzielnicy ludzie opowiadają sobie o takich rzeczach, wiadomość szybko się rozchodzi. Potem oczywiście natychmiast pojawiły się rady rodziców: „Nie zabierajcie dzieci na stadion na zakupy. A jeśli już, to cały czas trzymajcie za rękę, nie puszczać ani na chwilę". Do mojej chorej córki przyjechała kiedyś koleżanka. To była chyba czwarta klasa podstawówki. Koleżanka mieszkała dalej, do szkoły dojeżdżała autobusem, ale nigdy wcześniej nie jechała autobusem spod naszego domu. I wyobraź sobie, że na przystanku zapytała jakiegoś pana, a on wskazał jej niewłaściwy kierunek. Dojechała tym autobusem aż do Wawra, a ten mężczyzna wysiadł za nią. Na szczęście zaczęła krzyczeć i ludzie zareagowali. I to była kolejna nauka. Nieważne, jak taki pan wygląda, czy ma czarny garnitur i teczkę, czy jest ubrany niechlujnie. Nie znasz tego człowieka. Jeśli nawet go o coś zapytasz, to zapytaj jeszcze jedną osobę.

Myślę sobie, że źli ludzie mogą nam odebrać poczucie bezpieczeństwa, ale dobrzy mogą nam je przywrócić. Jak widzisz rolę wspólnoty po takiej tragedii? Czy w tym, żeby sobie z nią poradzić, pomagają spotkania z bliskimi, rozmowy z sąsiadami? Czy warto się bardziej otworzyć na wspólne przeżywanie żałoby?

Uważam, że wspólne przeżywanie żałoby to w pewnym sensie proces leczniczy. Jeśli przyjrzymy się tym wszystkim zwyczajom na całym świecie, zobaczymy, że zmarłych zawsze żegna się w dużej grupie. Chodzi o to, żeby być razem. Myślę, że po takich tragicznych zdarzeniach warto też rozmawiać w domu, w obecności całej rodziny, o tym, co się stało. Bo wtedy dajemy sobie nawzajem poczucie, że rodzina jest taką oazą bezpieczeństwa. Warto też pielęgnować różne relacje, właśnie z sąsiadami, z rodzicami kolegów i koleżanek naszych dzieci, z przyjaciółmi. Choćby po to, żeby pokazać, że jest też dobra strona tego świata. Są ludzie, do których można się zwrócić po pomoc, kiedy jest potrzebna.

eprasa.pl 951eddf438

MEDIA PRZECIW DEZINFORMACJI.

Jak walczyć z kłamstwem i manipulacją? Jaka jest w tym rola mediów i czy powstrzymanie fali fake newsów i dezinformacji jest możliwe

O różnych przejawach dezinformacji podczas debaty rozmawiali: Michał Potocki, Dziennik Gazeta Prawna, Agnieszka Gozdyra, Polsat News, Barbara Kasprzycka, Wirtualna Polska, Marek Twaróg, Polska Press Grupa, Tomasz Walczak, Interia. Debatę moderował Tomasz Terlikowski, RMF FM



Tomasz Terlikowski, RMF: Może zaczniemy od pytania, dlaczego media muszą się zajmować dezinformacją, skoro naszym głównym celem jest informowanie? Co takiego się stało, że walka z dezinformacją może nie jest głównym naszym celem, ale staje się istotnym elementem naszej pracy?

Agnieszka Gozdyra, Polsat News: Dlatego, że dezinformacja zaczyna wygrywać z informacją. To, co robimy na co dzień, to, co jest esencją dziennikarstwa, a więc opowiadanie ludziom o tym, co się wydarzyło i ramowanie świata, jak to się mądrze czasami nazywa, określanie pewnych kluczowych tematów, wskazywanie, co jest istotne, wskazywanie, co decyduje o naszym życiu, przegrywa z absolutnym przemysłem dezinformacji. Stawiam tezę, że kłamstwo, fake news, dezinformacja, która jest absolutnie celowa w swojej istocie, stała się biznesem, stała się narzędziem do zarabiania gigantycznych pieniędzy i stała się narzędziem wykorzystywanym w sposób absolutnie świadomy przez polityków, przez grupy interesu, przez władców Big Techów, przez tych, którzy są władcami algorytmów, którzy sterują tak naprawdę naszymi umysłami po to, żeby osiągnąć swoje cele. Polityczne, biznesowe, czy cele innego rodzaju, które sobie pewnie jakoś tam też zdiagnozujemy w trakcie tej debaty. Natomiast jesteśmy spóźnieni w reakcji. Jesteśmy mocno spóźnieni, ponieważ przeoczyliśmy moment, w którym dezinformacja zaczęła nas przytłaczać, zaczęła mieszać się z informacją, zaczęła kompletnie zaburzać ludziom postrzeganie świata i rozumienie tego, co się tak naprawdę wokół nas dzieje.

Barbara Kasprzycka, Wirtualna Polska: Mam wrażenie, że nasz problem zaczyna się od tego, że jesteśmy czwartą władzą, która ma patrzeć na ręce politykom, podczas gdy politycy uznali, że dezinformacja jest po prostu świetnym narzędziem do robienia polityki. I na twoje pytanie, dlaczego mamy się zajmować teraz dezinformacją jako media, które też przecież mają różne grzechy na swoim sumieniu, odpowiem, że my też nie jesteśmy bez winy. Pewnie wszyscy potrafilibyśmy wymienić przykłady, kiedy zbyt szybko podawaliśmy jakieś informacje.

Tomasz Terlikowski, RMF: Ale to jest błąd, a nie dezinformacja.

Barbara Kasprzycka, Wirtualna Polska: Zgoda, ale mówię o dezinformacji, którą my bezkrytycznie kupiliśmy z jakiejś przyczyny. To był nasz błąd, że to zrobiliśmy, ale ta dezinformacja była wytworzona przez kogoś w jakimś celu. I jako media wciąż mamy tę podstawową rolę, by patrzeć, co robią politycy, bo to oni decydują, jakie regulacje będą na końcu w usługach, w zdrowiu, w tym wszystkim, gdzie ta dezinformacja się pleni, podczas gdy sami bardzo często zaczęli uznawać, że to jest łatwa droga. Dezinformacja, manipulacja, półprawda wypuszczona całkiem świadomie, to jest doskonała droga do odbiorcy bezpośrednio, z pominięciem mediów. To jest dla nich nowe poletko do uprawiania polityki. Mam wrażenie, że dlatego my jesteśmy wezwani do szczególnej odpowiedzialności za to, co się dzieje.

Tomasz Terlikowski, RMF: Ale to jest pytanie o politykę dezinformacji. Nie wątpię, politycy to wykorzystują, ale oni mogą to robić. Czy to jest rzeczywiście przemysł, ktoś za tym wszystkim stoi i ktoś na tym bardzo dobrze zarabia. Nie tylko uprawia politykę.

Tomasz Walczak, Interia: Agnieszka tu wspomniała o przemyśle dezinformacji pod nazwą ekonomia dezinformacji. Rewolucja internetowa stworzyła narzędzia, które pozwalają tę dezinformację siać. Nie ma narzędzi, które pozwalają odsiać te plewy dezinformacji od ziarna prawdy, który w tym jest. No i rzeczywiście algorytmy i cała filozofia Big Techów jest zbudowana na emocjach, a emocje wywołują tak naprawdę te rzeczy, które niekoniecznie są z prawdą związane. Bo prawda jest nudna tak naprawdę, a kłamstwo potrafi rozgrzać emocje. No i na tych emocjach oczywiście buduje się odbiorcę, którego karmi się non-stop takimi treściami. No więc siłą rzeczy ludzie są na to podatni. Ktoś na tym bardzo dużo zarabia. Ci, którzy sieją tę dezinformację, nauczyli się korzystać z tych narzędzi. No i mamy rzeczywiście świat, w którym jesteśmy chyba takim ostatnim szańcem, jaki stara się tej prawdy bronić. Zawsze naszą rolą było rzetelne informowanie, więc weryfikowaliśmy te informacje. Tylko że po drugiej stronie mamy przeogromny przemysł, przeogromną infrastrukturę, z którą nawet wielkim mediom, których reprezentantami jesteśmy, trudno jest też walczyć

Marek Twaróg, Polska Press: Cieszę się, że już zaraz na początku o dezinformacji mówimy nie tylko w kontekście politycznym, bo przyjęło się generalnie dzisiaj dyskutować o dezinformacji jako o polityce. To nas rozgrzewa. To generalnie jest dzisiaj gorącym tematem. Natomiast rzeczywiście wydaje mi się, że o wiele chyba nawet groźniejsza dezinformacja to jest ta dezinformacja biznesowa, nazwijmy ją ta, która się zawiera w tej dezinformacji zdrowotnej każdej innej. To wydaje mi się bardzo poważny, poważny temat, o czym chyba będziemy jeszcze mówić, bo tu też absolutnie masz rację, mówiąc, że to jest też kwestia prymatu emocji. Emocje bardzo łatwo dzisiaj wprząc w cały ten przemysł dezinformacyjny, bo gdybyśmy wszyscy odrzucili emocje, to tak naprawdę o wiele trudniej byłoby dezinformować.

Tomasz Terlikowski, RMF: Też robić uczciwe media byłoby trudniej.

Marek Twaróg, Polska Press: Zdecydowanie do tego zmierzam, że my wszyscy na tych emocjach dzisiaj gramy, my wszyscy płyniemy na tej fali. Natomiast jeszcze wydaje mi się bardzo ważna jest odpowiedź na to pierwsze pytanie, bo po co my dzisiaj walczymy z tą dezinformacją? Wiecie, my jako media działamy na zaufaniu społecznym. To zaufanie społeczne do mediów, nazwijmy to tradycyjnych, czy to jest telewizja, czy radio, czy internet, niestety jest coraz mniejsze.

Agnieszka Gozdyra, Polsat News: To zależy.

Marek Twaróg, Polska Press: Rozumiem, że nawiązujesz choćby do sytuacji zagrożeń.

Agnieszka Gozdyra, Polsat News: W takich sytuacjach tradycyjne media mają przewagę.

Marek Twaróg, Polska Press: Natomiast nie zmienia to faktu, że to zaufanie społeczne nie jest tak duże, jak chcielibyśmy, żeby było. W związku z tym naszą absolutną powinnością jest odzyskanie tego zaufania. A odzyskujemy je, tylko tłumacząc fakty, pokazując prawdę. To jest strasznie nudne. Powiedzmy sobie, jak to powiedziałeś, prawda jest nudna. Oczywiście prawda jest nudna. Prawda nie odpowiada na moje zapotrzebowanie wspólnotowe, że wiem wszystko to, co moi znajomi, w związku z czym się dobrze z tym czuję. To wszystko jest bardziej kwestia psychologii. Wydaje mi się, że to jest super ciekawe również rozpatrywanie dezinformacji pod kątem socjologicznym i psychologicznym, a nie tylko medioznawczym.

Tomasz Terlikowski, RMF: To kolejny wątek: geopolityka. Dezinformacja to jest element prowadzenia polityki międzynarodowej albo mówiąc wprost wojny. Świetnie to pokazuje brytyjski serial „Niewypowiedziana wojna", w którym jest absolutnie precyzyjnie pokazane, co się dzieje, kiedy skutecznie buduje się przestrzeń, w którym dezinformacja zastępuje informację.

Michał Potocki, Dziennik Gazeta Prawna: Mnie jeszcze na studiach, dawno przed czasami algorytmów i Facebooka, uczono, że w środowisku międzynarodowym dezinformacja i informacja krążą na równych zasadach. To jest po prostu narzędzie polityki, które istnieje od zawsze i które istniało na długo.

Tomasz Terlikowski, RMF: John Le Carre świetnie to pokazuje w swoich powieściach.

Michał Potocki, Dziennik Gazeta Prawna: To istniało, zanim jeszcze modnymi stały się takie terminy jak fake news czy nawet samo słowo dezinformacja, które do szerszych mas przedostało się dopiero w ostatnich latach. Wcześniej mówiono po prostu o kłamstwie albo propagandzie. Nasze fundamentalne zadanie to opisywanie rzeczywistości taką, jaka ona jest, żeby opisywać ją bezstronnie. I w zasadzie każdy tekst, który napiszemy, każda audycja, którą zrobimy, każdy film dokumentalny, który nakręcimy zgodnie z warsztatem i uczciwie, będzie formą walki z dezinformacją. Dlatego, że to jest trochę tak, jak w fizyce z ciepłem i zimnem. Zimno jest sytuacją, w której nie ma ciepła. Dezinformacja jest sytuacją, w której nie ma informacji. W związku z czym naszą rolą, absolutnie fundamentalną, nawet wtedy, kiedy się tego nie domyślamy, kiedy nie mamy tego na celu, jest de facto walka z dezinformacją.

Tomasz Terlikowski, RMF: Tylko tu kłopot, że nawet jeśli budujemy obiektywną informację, to ona spokojnie może być wykorzystana do dezinformacji, bo coś zostanie wyolbrzymione, zostanie coś zacytowane wbrew kontekstowi, pokażemy obraz, który ktoś wykorzysta w inny sposób. Nawet jeśli my dobrze wykonujemy swoją pracę, to ona staje się do pewnego stopnia niezależna od nas. Weźmy protesty we Francji: w tych najbardziej agresywnych formach częściej uczestniczyły osoby niebiałe. Czy to jest fakt? Jest. Tylko natychmiast niektórzy politycy, wykorzystają to jako informację, że to są migranci. A to, że to nie są migranci, że to są często ludzie w trzecim, czwartym pokoleniu mieszkający w tym kraju, nie ma znaczenia.

Michał Potocki, Dziennik Gazeta Prawna: Dobra narracja dezinformacyjna musi bazować na prawdzie, dlatego że coś wymyślonego kompletnie od początku do końca, źle się rozchodzi. Dobrze rozchodzi się coś, co dla odbiorcy może być oczywiste. Dobry przykład podałeś z protestami we Francji. Hasło „Europa upada", „Europa jest w chaosie" ze zdjęciami z Niemiec, Francji, z Hiszpanii, z Polski sprzed Trybunału. Ono się świetnie rozchodzi na rosyjskich kanałach, bo pasuje części odbiorcom, którzy są przekonani, że faktycznie Europa upada i że świat Zachodu gnije, jest martwy i tak dalej. To nie jest nic nowego. Jeszcze komunistyczni, radzieccy agitatorzy sprzed drugiej wojny światowej odkryli, że dobry przekaz propagandowy musi mieć te swoje pięć procent prawdy. Nawet była taka świetna

eprasa.pl 951eddf438



FOT. MAT.PRAS.

Tomasz Walczak, Michał Potocki, Agnieszka Gozdyra, Tomasz Terlikowski, Barbara Kasprzycka, Marek Twaróg

książka francuskiego autora o tym, jak funkcjonowała radziecka propaganda w tamtych czasach pod tytułem „Pięć procent prawdy". Te pięć procent prawdy musi być. I dlatego to, co robimy, też bywa wykorzystywane przez, przez wroga, który próbuje nas tutaj dopaść, rozbić i, i osłabić.

Tomasz Terlikowski, RMF: Pozwólcie, że ja trochę włożę kij w mrowisko i trochę będę adwokatem diabła. Tutaj Agnieszka Gozdyra się krzywiła, jak słyszała, że prawda jest nudna.

Agnieszka Gozdyra, Polsat News: Tak, bo ja uważam, że to jest bezradność, a cholernie nie lubię być bezradna.

Tomasz Terlikowski, RMF: Zadam trochę inaczej pytanie. Mówimy, że dezinformacja pewne rzeczy niszczy, niszczy przekaz, ale ona jest w pewnym sensie wygodna dla jednostki. Jest wygodna dla jednostki, bo daje poczucie: mam prawdę, wiem więcej niż inni. Wpisuje mnie w pewną wspólnotę. Daj mi poczucie sensu, które w rozbitym, pokawałkowanym świecie jest istotne. Spróbujcie mnie teraz przekonać, że jednak prawda i informacja jest lepsza niż dezinformacja, która emocjonalnie, niewątpliwie, częściowo także politycznie daje jednostce coś. To znaczy: dlaczego jednostka traci na dezinformacji, choć na pierwszy rzut oka może się poczuć lepiej?

Barbara Kasprzycka, Wirtualna Polska: Mam wrażenie, że narracje na poziomie polityczno-społecznym są dość skutecznie są rozbrajane. To znaczy mamy już narzędzia. Mam wrażenie, że społecznie, przynajmniej w mojej bańce, nieźle sobie radzimy z odpowiedzią na to, że coś jest ewidentnym fejkiem, że dezinformacje są skrojone na krótki dystans. -

Agnieszka Gozdyra, Polsat News: Dlatego, że są zastępowane przez kolejne dezinformacje.

Barbara Kasprzycka, Wirtualna Polska: Zgoda, zgoda. Tylko że ja, ja tutaj właściwie przyszłam z taką dość optymistyczną myślą, że im więcej rozmawiamy o dezinformacji, pokazujemy dezinformację, pokazujemy fejki, tym wyższa jest odporność społeczna na to. To znaczy mam wrażenie, że zbliżamy się do takiego momentu, kiedy ludzie naprawdę zaczną odbierać to w taki sposób: zaraz, to ja może sprawdzę w drugim źródle, może przełączę telewizor na jakiś inny kanał, może przerzucę portal na jakiś inny.-

Michał Potocki, Dziennik Gazeta Prawna: Ja na chwilę zgłoszę polemikę

Tomasz Terlikowski, RMF: Dobrze, proszę polemikę.

Michał Potocki, Dziennik Gazeta Prawna: Bo ja się z tym nie zgadzam. Uważam, że właśnie jest zupełnie odwrotnie. To znaczy, że klucz do walki z dezinformacją nie leży po stronie mediów, tylko po stronie algorytmów. I tak długo, jak długo algorytmy na portalach tak zwanych społecznościowych będą działać tak, będą skonstruowane w ten sposób, żeby nas polaryzować, okłamywać, dezinformować, grać na naszych emocjach.-

Agnieszka Gozdyra, Polsat News: To będziemy w tyle.

Michał Potocki, Dziennik Gazeta Prawna: To będziemy w tyle. Dlatego, że algorytm jest atrakcyjniejszy i scrollowanie Facebooka i TikToka jest atrakcyjniejsze niż wejście tradycyjne media. Co gorsze, klucz z kolei do tego, żeby ktoś się zajął algorytmami, nie należy do państw narodowych, bo jesteśmy za słabi jako państwo narodowe. Klucz leży, mam wrażenie, po stronie całego Zachodu, po stronie nie wiem, może G7 powinno się tym zająć, może OECD uzgodnić. Natomiast państwa narodowe nawet są za słabe na to, żeby Facebookowi wejść w algorytmy.

Marek Twaróg, Polska Press: Ja też nie podzielam niestety tego optymizmu, że będzie coraz lepiej. Pamiętajcie, że my wciąż mówimy tutaj o mediach rozumianych jako dostarczycieli treści, wytwórców, dystrybutorów informacji. Natomiast media to jest przemysł rozrywkowy w jakiejś części. To jest przemysł, który odpowiada na nasze emocje. To jest przemysł, który odpowiada za to, że my się czujemy rozluźnieni, zrelaksowani, że siedzimy na portalach jednych, drugich, piątych czy scrollujemy serwisy społecznościowe. I to pomieszanie, moim zdaniem, tych środowisk sprawia, że my tak naprawdę walczymy tą, niech już będzie ciekawą, ale na ogół nudniejszą informacją z całym przemysłem rozrywkowym, z całym kolorowym światem fejków, głupot, durnych filmików. I tutaj pełna zgoda. Oczywiście my jesteśmy za słabi dzisiaj, żeby Big Techy spróbować okiełznać. Natomiast wydaje mi się, że nie możemy abstrahować od roli państwa tutaj. Wydaje mi się, że państwo ma swoje powinności w walce z fejkami, w walce być może z Big Techami, nie wiem, ale na pewno z fejkami. I my nie powinniśmy się odwracać od ewentualnej oferty pomocy ze strony państwa, bo tak naprawdę my mówimy, słuchajcie, no nie chcę zbyt patetycznie zabrzmieć, no ale mówimy o znakach demokracji, mówimy o fundamentach państwa, mówimy o zaufaniu społecznym, które jest niezbędne do tego, żeby to państwo jakoś działało.

Tomasz Terlikowski, RMF: To ja spróbuję jeszcze bardziej skomplikować ten obraz. Po pierwsze czasami informacje absolutnie prawdziwe są przedstawiane jako dezinformacje. Znany i przez niektórych lubiany, a przez niektórych mniej, Donald Trump wszystkie informacje na swój temat, także te prawdziwe, określa mianem dezinformacji. Mówi: no to jest fake news w ogóle, a wszystkie te media, które podają te informacje o mnie, są nieprawdziwe. Ale drugi, może jeszcze istotniejsza kwestia: gdyby to było tak, że my, tradycyjne media rywalizujemy wyłącznie z politykami, którzy sieją dezinformację, byłoby fantastycznie. Natomiast infosfera i sfera rozrywki to jest masa youtuberów, masa tiktokerów, masa ludzi, którzy są już autorytetami na X i oni również budują przestrzeń publiczną. To już nie jest świat, w którym media ze sobą rywalizują, politycy ze sobą rywalizują i Big Techy jeszcze na to się nakładają, tylko jest jeszcze cała przestrzeń de facto poza jakąkolwiek kontrolą. Bo oczywiście można podejrzewać, kto jest skąd inspirowany, ale część ludzi, o których dawno temu pisał Volkoff w „Montażu", czy Lenin mówił o nich „pożyteczni idioci", to nie są po prostu agenci, tylko to są pudła rezonansowe, które rezonują tym, co przynosi ruch i co daje im realne środki, nawet jeśli to nie dezinformacja jest ich celem. I to jeszcze bardziej komplikuje sytuację tradycyjnych mediów.

Tomasz Walczak, Interia: Wspomniałem o tej infrastrukturze dezinformacji. Poruszamy się po polu gry, które nie jest przyjazne mediom, nie jest przyjazne użytkownikom, którzy szukają rzetelnej informacji. No bo ono promuje właśnie kłamstwa Donalda Trumpa, dezinformację sianą przez influencerów, którzy dodatkowo jeszcze właśnie tradycyjne media starają się pokazać jako siewców cenzury, siewców propagandy. Oni się przedstawiają jako ludzie, którzy jako jedyni posiadają prawdę. Znowu grają na pewnej emocji społecznej, bo mówią użytkownikom: tylko my wam potrafimy powiedzieć, co tam jest, nikt inny wam tego nie powie, bo to wielka tajemnica. Odkrywamy wielki świat, więc to jest problem, którego nie rozwiążemy tak prostu, jeśli nie weźmiemy za gardło tej całej infrastruktury. To znaczy, że dokąd państwo nie weźmie odpowiedzialności czy państwa, czy organizacje międzynarodowe, nic się nie zmieni. Tak, bo możemy oczywiście odpowiedzialność indywidualną kłaść dziennikarzu, że będzie rzetelnie informował. Odpowiedzialność kłaść na konkretnej redakcji, że będzie sprawdzać informacje. Będziemy mieli odpowiedzialność użytkownika, któremu każemy się edukować. Tylko to nic nie zmieni w tej globalnej skali, bo gramy przeciwko wielkiemu przeciwnikowi, całej armii, wręcz wielu dywizjom w dosyć małej grupie. Tak jak mówiłem, jesteśmy takim trochę ostatnim szańcem.

Michał Potocki, Dziennik Gazeta Prawna: Wioska Galów natychmiast mi się przypomina.

Tomasz Walczak, Interia: Trochę tak to wygląda dzisiaj. No i nic się nie zmieni, dopóki reguły gry będą takie, jakie są. A dzisiaj mamy po prostu absolutne bezhołowie, na którym korzystają ci, którym zależy właśnie na tym, żeby monetyzować kłamstwo.

eprasa.pl 951eddf438

PRAWO

Siekierą rozłupał psu głowę. Ludzie: „Matka będzie następna?”

24-letni Michał B. z gminy Bartniczka chwycił za siekierę i uwiązanemu na łańcuchu psu sąsiada rozłupał głowę. Od września jest w areszcie. Niebawem może go opuścić, bo biegli zalecają pilnie jego leczenie z uzależnienia od narkotyków i alkoholu. Ludzie boją się, czy gdy wróci, nie będzie szukał odwetu na matce, która o zbrodni powiadomiła policję

Małgorzata Oberlan

Do bestialskiego zamordowania psa doszło 30 sierpnia. Prokuratura szybko postawiła zarzut zabójstwa zwierzęcia ze szczególnym okrucieństwem. 2 września Sąd Rejonowy w Brodnicy zastosował wobec 24-letniego sprawcy areszt tymczasowy na 3 miesiące. Niebawem jednak może on zza tych krat wyjść - choć nie na wolność. Ujawniamy to jako pierwsi.

- Opinia sądowo-psychiatryczna jest jasna. Biegli stwierdzili u Michała B. silne uzależnienie od narkotyków i alkoholu, wskazując na pilną potrzebę leczenia. Taki wniosek o leczenie prokurator z Brodnicy złożył już w miejscowym sądzie - przekazuje nam prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Toruniu.

Uzależnienie i konieczność leczenia młodego mężczyzny absolutnie nie wyklucza jego odpowiedzialności karnej i gotowości do poniesienia konsekwencji. Nie ma tutaj mowy o żadnej niepoczytalności. Jest za to w gminie Bartniczka (i nie tylko) pytanie, które męczy wielu ludzi: - Jak wyjdzie (bo przecież prędzej czy później wyjdzie na wolność), matka może być następna! Może chcieć się na niej zemścić za to, że zawiadomiła policję - alarmują. Prokuratura zdaje siebie sprawę z takiej możliwości, chciałaby zapewnić kobiecie bezpieczeństwo. Na razie jednak ma związane ręce, o czym w dalszej części tekstu. Kończy śledztwo i przesłuchania świadków w sprawie mordu psa i zapowiada, że po 12.11, skieruje do sadu akt oskarżenia.

Ciosy siekierą w głowę psa

Co dokładnie wydarzyło się 30.08. br. w jednej ze wsi w gminie Bartniczka? Jak już ustalili policjanci i brodniccy śledczy, 24-letni Michał B. ze szczególnym okrucieństwem zamordował tutaj psa. To był zwykły kundelek; mieszaniec. Nie miał ruchu i był uwięziony na łańcuchu przy budzie. Należał do sąsiada Michała B. Czy



FOT. PEXELS

Do bestialskiego zamordowania psa sąsiadów przez 24-letniego Michała B. doszło niedawno w gminie Bartniczka

tak unieruchomiony pies stanowił jakiekolwiek zagrożenie?

24-latek chwycił za siekierę i zadał psu kilka ciosów w głowę. Rozłupał mu czaszkę. Potem zwłoki zakopał. Wstępnie podano, że mężczyzna był „pod wpływem alkoholu”; teraz okazało się, że, według psychiatrów, silnie uzależniony jest też od narkotyków.

Po tej zbrodni to mieszkająca na tej samej posesji matka Michała B. zawiadomiła o wszystkim policję. Według niektórych naszych rozmówców, mogło być tak, że kobieta wzywała policję nie tylko do zabitego psa, ale już w obawie, że zdolny do takiego zwyrodnialstwa, pobudzony syn także jej zrobi krzywdę.

Michał B. został zatrzymany i szybko usłyszał zarzuty. Formalnie ciąży na nim zatem zarzut popełnienie przestępstwa z art. 35 ust. 1 i 2 Ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o ochronie zwierząt. - Przesłuchany w charakterze podejrzanego przyznał się do popełniania zarzucanego mu czynu i pokazał funkcjonariuszom policji miejsce, gdzie zakopał psa. Wyjaśnił, że zrobił to, bo pies był agresywny i obawiał się, że zrobi w końcu komuś krzywdę - relacjonuje rzeczniczka prokuratury.

Uzależniony, już karany.

Prokuratura prosi, by nie zdradzać nazwy miejscowości w gminie Bartniczka zamieszkiwanej przez Michała B. i matkę. Nie ze względu na podejrzanego, lecz „aby dodatkowo nie stygmatyzować jego rodziny”. Tak czynimy, choć miejscowym postaci tego dramatu są znane.

Kim jest Michał B.? Ma 24 lata i, jak piszemy na wstępie, biegli psychiatrzy zdiagnozowali u niego teraz silne „uzależnienie mieszane”. - Od amfetaminy, marihuany oraz alkoholu - precyzuje prokurator Izabela Oliver.

Wydarzenia z 30.08. jasno wskazują, że był/jest nieobliczalny. Pytanie, czy zagraża także ludziom. I do czego jest zdolny względem matki, która „na niego doniosła”? Na razie Michał B. jest jeszcze w areszcie - od 2 września. Może go opuścić i adres zmienić na ośrodek, w którym przejdzie leczenie uzależnień - jeśli tylko brodnicki sąd przychyli się do wniosku prokuratury. Czy potem w oczekiwaniu na swój proces przed sądem nadal będzie aresztowany? Nie wiadomo.

Jego obrońca od razu zaskarżył zastosowywanie tymczasowego aresztowania. Wtedy Sąd Okręgowy w Toruniu jednak zażalenia nie uwzględnił i decyzję podtrzymał w mocy. Czy jednak tak się stanie ponownie, w razie przedłużania aresztu i jego zaskarżenia? Pewności brak.

Czy matka będzie bezpieczna?

„Matka będzie następna?” - to pytanie retoryczne powtarzają zwykli ludzie i internauci, których bardzo poruszyła cała sprawa. Boją się, że gdy tylko 24-latek znajdzie się na wolności (choćby okresowo), będzie szukał odwetu na matce. - Plan jest taki, że prokurator podejmie próbę zapewnienia bezpieczeństwa kobiecie, choć obecnie ma nieco związane ręce. Czyn Michała B. jest okropny, ale cała sprawa jest dla prokuratury trudna procesowo - nie kryje prokurator Izabela Oliver.

Aby podjąć konkretne kroki izolujące 24-latka w razie potrzeby od matki, konieczna byłaby jej współpraca. Na razie brak, według wiedzy śledczych, formalnych zgłoszeń sprzed zabicia psa, dotyczących gróźb czy aktów przemocy syna wobec matki.

Zatem: musiałyby być przynajmniej zgłoszenia kobiety, że czuje się realnie zagrożona. Tymczasem, w podobnych sprawach policjanci i prokuratorzy są przyzwyczajeni do tego, że gdy pierwszy szok mija, matki potrafią wycofać pierwsze zeznania obciążające syna czy córkę. Więcej - skorzystać z prawa odmowy złożenia jakichkolwiek kolejnych zeznań jako osoby najbliższej podejrzanemu. Zdarza się to nawet wtedy, gdy matka pada ofiarą przemocy. Czy tak będzie w przypadku matki Michała B.? Nie wiadomo, ale prokuratura realnie bierze i ten scenariusz pod uwagę, gdy dopytujemy o zapewnienie bezpieczeństwa kobiecie.

- Za „zwykłe” zabójstwo zwierzęcia grozi kara do 3 lat pozbawienia wolności. Za zabójstwo dokonane ze szczególnym okrucieństwem, tak jak u Michała B., maksymalna możliwa kara to 5 lat więzienia. Przy kolejnym wniosku do sądu o areszt (przedłużenie) nie możemy zatem nawet powołać się na grożącą podejrzanemu surową karę. Bo „surowa kara” zgodnie z przepisami to minimum 8 lat więzienia - wyjaśnia prokurator Oliver.

AUTOREKLAMA

DROBNE

Nieruchomości

LOKALE UŻYTKOWE - KUPIĘ

KUPIĘ Twój problem z udziałem w nieruchomości, spadku ! Nie wiesz co robić, nie dogadujesz się z rodziną, współwłaścicielem? Sprzedaj mi swój udział ! 602738759

Handlowe

JUBILERSTWO

SKUP złota i srebra, wszystkie próby, ul. Młyńska 63, K-lin 509-345-577.

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek. Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, tradycyjne Święta Bożego Narodzenia 1500 zł, miodowyraj.pl 501642492.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURY nioski dowóz 600539790

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ ibo.polskapress.pl

AUTOREKLAMA

aktualne z całej Polski przetargi

nasze komunikaty.pl

AUTOREKLAMA

strona podróży



Piąta strona świata

stronapodrozy.pl

eprasa.pl 951eddf438

PODRÓŻE

Ślad głębszy niż kanion. Historia polskiego odkrycia Colki

W 1981 roku kilku młodych Polaków zmierzyło się z rzeką Colca, przecinającą jeden z najgłębszych wąwozów świata. Dzięki nim poznaliśmy niezwykły kanion w południowym Peru

Jacek Pałkiewicz



FOT. ARCHIWUM JACKA PAŁKIEWICZA

Kanion rzeki Colca został „odkryty" w 1981 roku przez grupę polskich kajakarzy. Dziś stanowi on drugą największą atrakcję turystyczną w Peru – po Machu Picchu, starożytnym mieście Inków

Są miejsca, których nie da się zapomnieć. Nie dlatego, że zachwycają niezwykłym pięknem, lecz dlatego, że pozostawiają w człowieku ślad głębszy od własnych przepaści. Do takich miejsc należy peruwiański kanion Colca.

Kiedy po raz pierwszy stanąłem na jego krawędzi, długo nie mogłem oderwać wzroku od ogromu skalnej rozpadliny. Z wysokości kilku tysięcy metrów rzeka wyglądała jak srebrna nić zagubiona gdzieś na dnie ziemi, a krążące nad przepaścią kondory wydawały się większe od ludzkich marzeń. W takich chwilach człowiek uświadamia sobie, że natura nie potrzebuje monumentalnych budowli ani architektów. Od milionów lat tworzy dzieła, wobec których milkną nawet najbardziej doświadczeni podróżnicy.

Dzisiaj Colca jest jednym z obowiązkowych punktów każdej podróży po Peru. Nowoczesne drogi, punkty widokowe, hotele i restauracje sprawiają, że każdego roku przyjeżdżają tu dziesiątki tysięcy turystów z całego świata. Zachwycają się lotem kondorów, fotografują prekolumbijskie tarasy uprawne i wracają do domu przekonani, że odkryli jedno z najpiękniejszych miejsc Ameryki Południowej. Niewielu z nich wie jednak, że jeszcze czterdzieści pięć lat temu kanion pozostawał niemal nieznany, a jego dno uchodziło za przestrzeń nieprzystępną, tajemniczą i budzącą respekt nawet wśród mieszkańców Andów.

Rok 1981 zapisał się w historii eksploracji Peru wydarzeniem, które z perspektywy czasu trudno przecenić. Kilku młodych Polaków postanowiło zmierzyć się z rzeką Colca, przecinającą jeden z najgłębszych kanionów świata. Były to czasy, kiedy nie istniały satelitarne mapy dostępne w telefonach, drony pokazujące każdy zakręt rzeki ani ratownictwo gotowe w ciągu godziny dotrzeć śmigłowcem w najtrudniej dostępne miejsce. Wyprawy planowano na podstawie skąpych informacji, starych map i własnej intuicji. Każdy kilometr mógł przynieść niespodziankę, a każdy próg skalny okazać się pułapką bez odwrotu.

Nie była to pogoń za rekordem ani próba zdobycia rozgłosu. Była to eksploracja w najczystszym znaczeniu tego słowa – chęć poznania świata tam, gdzie wcześniej nikt nie dotarł. Pamiętam tamtą atmosferę doskonale, bo należeliśmy do pokolenia, które rozumiało, że prawdziwa przygoda zaczyna się tam, gdzie kończą się pewność i wygoda. Nasze wyprawy nie rodziły się przy komputerach ani w gabinetach specjalistów od marketingu. Powstawały z marzeń, odwagi i gotowości zaakceptowania ryzyka. Była to epoka, kiedy eksplorator wracał z podróży bogatszy przede wszystkim o doświadczenie, a nie o liczbę obserwujących w mediach społecznościowych.

Spływ Colką okazał się sukcesem, który odbił się szerokim echem w środowisku ludzi gór i rzek. Świat dowiedział się o niezwykłym kanionie ukrytym w południowym Peru, a z czasem zaczęli przybywać tam kolejni podróżnicy, kajakarze, alpiniści i turyści. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że tamta wyprawa otworzyła Colkę dla światowej turystyki przygodowej. Dzisiaj trudno to sobie wyobrazić, ale zanim pojawiły się foldery reklamowe i kolorowe przewodniki, pierwszą wizytówką tego miejsca była odwaga kilku Polaków płynących przez rwący nurt między pionowymi ścianami kanionu.

Jednym z nich był Jerzy Majcherczyk. W historii podobnych ekspedycji często zdarza się, że wielka przygoda staje się pięknym wspomnieniem młodości. Ludzie wracają do codzienności, zmieniają zawody, zakładają rodziny, a fotografie z wypraw pokrywają się kurzem. W przypadku Jerzego stało się dokładnie odwrotnie – dla niego Colca nie była zakończeniem pewnego etapu życia, była jego początkiem.

Od tamtej wyprawy minęło już czterdzieści pięć lat, a on nadal wraca do Peru z tym samym entuzjazmem. Nie jako zdobywca szukający kolejnych sukcesów, lecz jako człowiek związany z miejscem i ludźmi, których przed laty spotkał na swojej drodze. Wielokrotnie obserwowałem podobne historie podczas własnych ekspedycji i wiem, że najtrwalsze więzi rodzą się nie podczas oficjalnych uroczystości, lecz przy wspólnym pokonywaniu trudności.

Jerzy zrozumiał to doskonale, dlatego jego działalność nie zakończyła się wraz z dopłynięciem do mety historycznego spływu. Zaczął wracać do Colki regularnie, poznając coraz lepiej mieszkańców doliny, ich codzienne troski, marzenia i potrzeby. Z czasem stał się nie tylko przewodnikiem po tym niezwykłym zakątku Peru, lecz także jego ambasadorem. Dzięki jego książkom tysiące ludzi po raz pierwszy usłyszały o kanionie Colca, o andyjskich wioskach i kulturze regionu Arequipa. Pisał z pasją człowieka, który nie opisuje egzotycznej ciekawostki, lecz miejsce, z którym związał znaczną część swojego życia.

Najpiękniejszym symbolem tej więzi jest szkoła imienia św. Jana Pawła II, której powstanie zawdzięczają właśnie jego determinacji mieszkańcy regionu. Ktoś mógłby powiedzieć, że to tylko budynek. Nic bardziej mylnego. W krajach rozwijających się szkoła jest inwestycją w przyszłość całej społeczności. To miejsce, w którym dzieci uczą się nie tylko pisać i liczyć, ale także wierzyć, że ich życie może wyglądać inaczej niż życie ich rodziców. Widziałem podobne szkoły w Amazonii, na Nowej Gwinei czy w afrykańskim buszu. Zawsze uderzało mnie jedno – tam gdzie pojawia się edukacja, rodzi się nadzieja. Budynek z cegły czy kamienia można wznieść w kilka miesięcy, ale jego znaczenie mierzy się dopiero po wielu latach, kiedy kolejne pokolenia opuszczają szkolne mury bogatsze o wiedzę i poczucie własnej wartości.

To zresztą cecha charakterystyczna ludzi naprawdę wielkiego formatu. Jadąc przez świat, nie ograniczają się do robienia zdjęć. Zostawiają po sobie trwały ślad. Przypomina mi się Ernest Malinowski, którego kolej transandyjska do dziś budzi podziw inżynierów. Myślę o Ignacym Domeyce, którego nazwisko znają wszyscy chilijscy uczniowie. Widzę Benedykta Dybowskiego poświęcającego życie mieszkańcom Kamczatki. Żaden z nich nie wyjeżdżał z Polski po to, by szukać własnej chwały. Wszyscy chcieli przede wszystkim coś zbudować, czegoś nauczyć, komuś pomóc. Jerzy Majcherczyk wpisuje się w tę samą tradycję. Może nie budował kolei przez Andy ani uniwersytetów, ale zbudował coś równie cennego – zaufanie i przyjaźń ludzi, którzy po czterdziestu pięciu latach nadal witają go jak członka własnej rodziny.

Peruwiańczycy potrafili to dostrzec. Państwo odznaczyło go za zasługi dla kraju, a wyróżnienie nadane przez prezydenta Peru nie było kurtuazyjnym gestem wobec zagranicznego podróżnika. Było wyrazem autentycznej wdzięczności za dziesięciolecia pracy wykonywanej z dala od kamer i oficjalnych uroczystości.

Kiedy dziś słyszę dyskusje o promocji Polski za granicą, często odnoszę wrażenie, że zbyt wiele uwagi poświęcamy kampaniom reklamowym, a zbyt mało ludziom, którzy od dziesięcioleci wykonują tę pracę bez rozgłosu. Dobry wizerunek kraju nie rodzi się podczas jednego kongresu ani konferencji prasowej. Powstaje z tysięcy drobnych gestów życzliwości, z uczciwości, profesjonalizmu i pamięci o drugim człowieku. Powstaje dzięki takim osobom, jak Jerzy Majcherczyk, które nie pytają, co mogą otrzymać od państwa, lecz zastanawiają się, co same mogą dać innym.

Dlatego z pewnym zdziwieniem obserwuję, że ludzie tego formatu nie zawsze znajdują należne miejsce w zbiorowej pamięci własnego kraju. Od lat funkcjonuje u nas niepisana kategoria ludzi określanych pół żartem, pół serio jako „nie nasi". Nie należą do żadnego wpływowego środowiska, nie zabiegają o obecność w telewizji, nie uczestniczą w salonowych sporach. Po prostu pracują. Cicho i konsekwentnie. Paradoks polega na tym, że często szybciej dostrzegają ich obcy niż rodacy.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych ustanowiło przed laty odznaczenie Bene Merito dla osób szczególnie zasłużonych w budowaniu dobrego imienia Polski poza granicami kraju. Trudno o piękniejszą ideę. Zawsze uważałem, że największymi ambasadorami ojczyzny nie są ci, którzy najgłośniej o niej mówią, lecz ci, dzięki którym obcokrajowcy zaczynają Polskę po prostu lubić i szanować. Mam wrażenie, że życiorys Jerzego Majcherczyka doskonale wpisuje się w sens tego odznaczenia. Nie dlatego, że przepłynął jeden z najtrudniejszych kanionów świata, lecz dlatego, że przez czterdzieści pięć lat potrafił zamieniać przygodę w odpowiedzialność, a fascynację Peru w trwałą przyjaźń między dwoma narodami.

Kiedy dziś staję nad krawędzią Colki, nie myślę wyłącznie o jej imponującej głębokości ani o kondorach majestatycznie szybujących nad przepaścią. Myślę przede wszystkim o ludziach. O młodych Polakach, którzy w 1981 roku mieli odwagę wpłynąć tam, gdzie inni widzieli jedynie niebezpieczeństwo. I o jednym z nich, który po zakończeniu wyprawy nie zamknął tego rozdziału życia, lecz pisał go dalej przez kolejne cztery i pół dekady. To właśnie dlatego uważam, że najgłębszy ślad w Colce nie został wyżłobiony przez rzekę. Pozostawił go człowiek, który zrozumiał, że prawdziwa wielkość podróży polega nie na tym, dokąd się dotarło, ale na tym, co dobrego zostawiło się po sobie.

eprasa.pl 951eddf438

CZYTELNIA

Uwaga! Rewizor zaraz tu będzie!

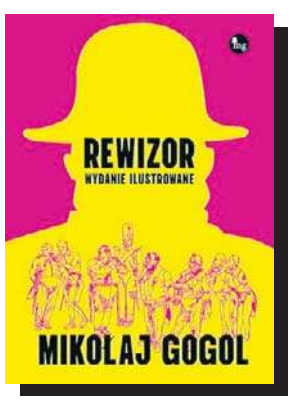
Wyobraźmy sobie senne, prowincjonalne miasteczko w Imperium Rosyjskim, gdzie życie toczy się ustalonym torem korupcji, układów i pozorów. Horodniczy, sędzia, naczelnik poczty – cała lokalna elita urzędnicza prowadzi swoje małe biznesiki, ignorując prawo i zdrowy rozsądek.

Nagle, niczym grom z jasnego nieba, spada na nich wiadomość: do miasta ma przyjechać rewizor z Petersburga! Panika ogarnia wszystkich. W atmosferze histerii i strachu urzędnicy biorą za rewizora przypadkowego, nic nieznaczącego młodzieńca, Chlestakowa. Rozpoczyna się absurdalna gra pozorów.

Historycy literatury dowodzą, że inspiracją dla Mikołaja Gogola była lektura artykułu Wissariona Bielinskiego „O rosyjskiej powieści i powieściach p. Gogola", w którym krytyk postulował, by literatura rosyjska wreszcie „wstrząsała czytelnikiem i budziła jego sumienie". Ponoć zmotywowany Gogol komedię napisał w mgnieniu oka – w grudniu 1835 r. była gotowa.

I co ciekawe – dzięki osobistej aprobacie cesarza Mikołaja I komedia dopuszczona do druku i wystawiona równie ekspresowo już w 1836 r.

„Z czego się śmiejecie? Z siebie się śmiejecie!" – pokpiwał horodniczy. Trochę na wyrost.



Mikołaj Gogol, „Rewizor", tłum. Julian Tuwim, wyd. MG, ilustrowane, Warszawa 2026, cena 49,99 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

Agnieszka Woźniak-Starak

Uprawia warzywa

Nie od dziś wiadomo, że celebrytka posiada w swym majątku kilka luksusowych nieruchomości. Wyjątkowe miejsce w jej sercu zajmuje jednak jedna z nich – posiadłość w sercu Mazur, która pozwala jej na bliski kontakt z naturą. Drewniana rezydencja dziennikarki robi przytulne wrażenie, idealnie wpisując się w otaczający ją las. Woźniak-Starak ma tam do dyspozycji pokaźnych rozmiarów taras, sprzyjający wypoczynkowi oraz własny ogród warzywny, w którym z powodzeniem uprawia marchewkę czy pomidory. Razem z dziennikarką na Mazurach żyje spory zwierzyniec – oprócz koni, psów i kotów jej rezydencję okazjonalnie odwiedzają sarny czy lisy. Woźniak-Starak mieszka tam aktualnie na stałe, dojeżdżając do stolicy wyłącznie na nagrania i inne zobowiązania zawodowe.

Izabela Janachowska

Była bardzo oporna

W miniony wtorek celebrytka zaprosiła do domu ekipę „Dzień dobry TVN", aby pokazać jej pokoje swych dzieci. Przy okazji podzieliła się refleksją na temat tego, jak w ciągu minionych lat zmieniło się jej podejście do macierzyństwa. – Kiedyś to w ogóle nie byłam osobą, która uwielbia dzieci i marzy o wielkiej rodzinie. Z biegiem lat to się zmieniało. Na pierwsze dziecko namówił mnie mąż, zdecydowanie, bo ja byłam oporna bardzo. Czułam, że się w ogóle w tej roli nie sprawdzę, że to jest absolutnie coś nie dla mnie. Bałam się zmiany życia, która nastąpi po urodzeniu dziecka – powiedziała. I dodała: – Syn wywrócił moje życie do góry nogami, zmienił absolutnie wszystko. Przede wszystkim moje postrzeganie i macierzyństwa, i w ogóle życia rodzinnego. Więc jak już był Chris, to pomyślałam sobie, biorąc pod uwagę, że też mam siostrę, że on musi mieć jeszcze rodzeństwo.

Marcin Hakiel

Uważnie niósł fotelik

Na początku listopada Dominika Serowska urodziła znanemu tancerzowi drugie dziecko – córkę Vivienne. Po kilku dobach spędzonych na szpitalnym oddziale przyszedł czas na powrót do domowego zacisza. Choć para starała się zorganizować wyjście z dala od błysków fleszy i opuściła szpital dopiero po zmroku, obecności paparazzi nie udało się uniknąć. Na zdjęciach zamieszczonych w Pudelku widać, że Serowska postawiła na luźną, domową stylizację – jasne spodnie dresowe, miękkie obuwie oraz obszerną bluzę z kapturem w beżowy wzór. Hakiel, ubrany w brązową, skórzaną kurtkę i klasyczne jeansy uważnie niósł fotelik samochodowy z noworodkiem. Po wyjściu na zewnątrz para raźnym krokiem od razu skierowała się w stronę zaparkowanego samochodu, gdzie tancerz sprawnie umieścił nosidełko na tylnej kanapie, po czym w trójkę ruszyli w drogę do domu.



FOT. ADAM JANKOWSKI

Joanna Jabłczyńska kilka lat temu kupiła stary dom sto kilometrów od Warszawy. Niestety, oszukali ją fachowcy od remontów

Dorota Szelągowska

Zrobiła to z lekarzem

Specjalistka od telewizyjnych remontów przeszła w ostatnim czasie sporą metamorfozę. Schudła aż 30 kilogramów, nic więc dziwnego, że w mediach ciągle pytają ją, jak tego dokonała. Okazuje się, że nie było to proste. Kiedy wzmożona aktywność fizyczna nie pomogła, Szelągowska musiała zasięgnąć porady specjalisty. – Wszystkie „diety cud" lub inne diety propagowane przez celebrytów są złe, ale nie dlatego, że im nie pomogły, ale dlatego, że człowiek później sobie myśli: „A, Szelągowska zrobiła to i to, więc zrobię to samo". Nie! Generalnie jedynym sposobem, żeby schudnąć, jest deficyt kaloryczny, a jak do niego dochodzisz, to zrób to z lekarzem – zdradziła w rozmowie z serwisem Jastrząb Post. I podsumowała: – Kobieta w pewnym wieku (...) jest zobligowana do zniknięcia. Już ci nie wypada pewnych rzeczy.

Marcela Leszczak

Postawiła na luksusy

Po trudnych tygodniach, związanych z rozwodem z Michałem Koterskim, celebrytka zafundowała sobie ekskluzywny odpoczynek w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Leszczak ostatni tydzień spędziła w murach 5-gwiazdkowego One&Only The Palm Dubai. Modelka wybrała mierzący aż 65 mkw. pokój, którego wnętrze wykończone jest w marmurach. Centralne miejsce zajmuje w nim gigantyczne łoże typu king-size. Do dyspozycji celebrytka ma prywatny taras z widokiem na Zatokę Arabską i salon kąpielowy z wolno stojącą wanną z hydromasażem i luksusowymi kosmetykami. Na terenie obiektu znajdują się: prywatna plaża z białym piaskiem, zacumowane jachty oraz gigantyczny basen, wokół którego rozstawiono klimatyzowane altany z prywatnymi leżankami. O podniebienia gości dba francuski szef kuchni Yannick Alléno, którego hotelowa restauracja została nagrodzona gwiazdką Michelina. Celebrytka mogła też skorzystać ze spa oferującego spersonalizowane rytuały pielęgnacyjne w gabinetach ukrytych wśród palm. Za tydzień pobytu w tych luksusach musiała zapłacić ponad 37 tys. zł.

Joanna Jabłczyńska

Oszukali ją fachowcy

Kilka lat temu celebrytka kupiła stary dom sto kilometrów od Warszawy. Kiedy wynajęła budowlańców, aby go wyremontować, od razu zaproponowali jej pójście na łatwiznę. – Zaczęli mi mówić: „Słuchaj, Asia, zrównaj ten dom z ziemią, to jest bez sensu. Postaw sobie obok nowy, to będzie taniej, szybciej". A ja mówię: „No właśnie nie, nie rozumiecie tego, bo to w ogóle nie ta idea jest. Ja muszę odnowić ten dom" – wspomina teraz w podcaście „Galaktyka gwiazd". I dodaje: – Dla mnie najgorsze jest to, kiedy trzeba polegać na kimś innym. Najbardziej zawodzą mnie ludzie. Tyle razy, ile mnie jakiś fachowiec oszukał. Tyle razy, ile mnie wystawił. Tyle razy, ile coś rozbabrał, zostawił i nie ma kto tego dokończyć, bo nikt nie lubi lepić po kimś. To są najgorsze takie momenty.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Mgła niedopowiedzeń skrywa szansę. Horoskop dzienny radzi zaufać swojemu przeczuciu. Odkryjesz dzięki temu właściwy trop.

Ryby (19.02 - 20.03)
Cichy znak od losu wskaże kierunek. Horoskop na dziś sugeruje nie ignorować drobnych zbiegów okoliczności.

Baran (21.03 - 19.04)
Tajemnicza wiadomość lub spotkanie może odsłonić sekret, który wiele wyjaśni. Horoskop dzienny na piątek radzi trzymać rękę na pulsie.

Byk (20.04 - 20.05)
Księżyc sprzyja intuicji. Horoskop dzienny sugeruje wsłuchać się w ciszę, bo niesie ona ważne odpowiedzi.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Za zasłoną codzienności kryje się okazja. Horoskop na dziś wyraźnie zapowiada, że odwaga pomoże dostrzec jej blask.

Rak (22.06 - 22.07)
To, co wydawało się chaosem, zacznie układać się w intrygujący wzór. Horoskop dzienny na piątek mówi, że ucieszy to nie tylko Ciebie.

Lew (23.07 - 22.08)
Niewypowiedziane słowa nabiorą znaczenia. Horoskop dzienny radzi uważnie odczytać sygnały od innych.

Panna (23.08 - 22.09)
Twoja intuicja będzie wyjątkowo przenikliwa. Horoskop na dziś sugeruje podążać za nią bez wahania.

Waga (23.09 - 22.10)
Los podsunie wskazówkę przez przypadkowe zdarzenie. Horoskop dzienny na piątek radzi zachowywać czujność i spokój.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Skrywana sprawa zbliża się do rozwiązania. Horoskop dzienny wyraźnie zapowiada, że wkrótce poznasz brakujący element.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Niecodzienna inspiracja pojawi się nagle. Horoskop na dziś mówi, że jej źródło może pozostać tajemnicą.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Sny i przeczucia okażą się cenniejsze niż zwykle. Horoskop dzienny na piątek wróży, że odpowiedź jest bliżej, niż myślisz.

eprasa.pl 951eddf438

roślina lecznicza na walerianę / dawny ożenek
ryzykuje za aktora
broń artyleryjska / huragan
kluski z kapustą
nadpsute, leśne drewno
włoska pieśń taneczna / nieuk
stolica nad Nilem
układ rubryk
odłam religijny
styl pływacki
ryba mulistych akwenów / sądowe stanowisko
wyjątkowe względy / ziemniaczany szkodnik
statek rybacki / pies myśliwski
kontur / lubi pouczać innych
29
szlachetny koń
18
Bryll lub Hemingway
30
5
fale radiowe
rysa na wyrobie / wydra morska / należy do kapituły
20
szpileczka
pniak z korzeniami
kolce dla taternika
hiszpański parlament
na głowie Sikha / hardość
syn Aresa
16
imię Krausa, pisarza
4
utwór Chateaubrianda
imię Lubaszenki
Zygmunt III ...
jednostka pojemności
22
napad na bank
ryba morska, płaszczka
przestrzeń bez końca
duża kość / „Mniej niż ..." / francuski pisarz
hiszpańsko-portugalska rzeka
rzemieślnik w kuźni / część rombu
biały na śniadanie
powolny chód siwka
13
wpada do łuzy
powoduje zapłon w silniku
córka Uranosa i Gai
himalajski ssak
spisa, dzida / szable dzika
część osobowości
składnik powietrza
8
„... twój brat"
Penn lub Connery
roślina siana przez panny / siła woli, wytrzymałość
cenny kamień ozdobny
kadź w browarze
Pola, aktorka
2
ma ciemne włosy
wierzchołek, szczyt
żołnierze Mieszka
angielska dama
roślina oleista
śpiew Kościelny
kosaciec / przymiot
24
materiał wtórny dla huty
bałamut / bierwiono
21
płoną w kominku / wózek na budowie
podawane w kuflu
na granicy kąpieliska
19
hinduska księżniczka
6
pojazd szynowy
koszyczek ostu
zjazd działaczy partii
25
świecąca reklama
pensja, wynagrodzenie
bada surowicę krwi
imię męskie z Uralu
port nad Rodanem
pobory oficera
chorobliwy podpalacz
7
ogrodzenie wokół chaty
obiekt latający
grecka bogini zemsty
nalot na miedzi
15
sterta desek / telenowa z Lubiczami
bunkier przeciwlotniczy
zimna zupa hiszpańska
zakażenie organizmu / luksusowy wagon / w kołczanie
suszy się na łące
aparat tlenowy płetwonurka
typ lasu liściastego
10
auto z Korei Południowej
żona kapłana w cerkwi / rogi jelenia / tacka na hostię
chroni przed ulewą
pewność siebie, buta
umiar / płaz bezogonowy
Nicolas, aktor z USA
26
kazamata / powyżej bioder
17
baśniowy krasnoludek
„Jak hartowała się ..."
metropolia Albanii
miejsce w rankingu
tkanina na płaszcze
odległość między kołami
23
czeski autobus
... Jusis, piosenkarka
12
młody student / zebra lub jak
mocny argument w negocjacjach
siedziba muz / w Marianach
14
mnich, zakonnik
gaz palny
... Tołstoj, pisarz
wojskowa szarża
roztwór koloidowy
odkryty pojazd konny
logika wypowiedzi / talon
28
koleje życia
27
dawny worek podróżny
rosyjska zupa rybna
11
prawy dopływ Bzury
9
... Watergate
stan w USA z Salt Lake City
pole z owsem
siostra Baala
internetowy odsyłacz
wolne stanowisko pracy
stale się zmienia
3
taniec z kastanietami

AUTOPROMOCJA 0110990366

Przy sobocie...
rozwiązuję krzyżówki
i rozwijam umysł

Nowe wydanie sobotnie „Głosu Dziennika Pomorza" już jutro. Zapraszamy do lektury

SŁOWNIK: „ATALA", ANAT, BERGAMASKA, GITANA, GAZPACHO, GUAM, KUFA.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 30 utworzą rozwiązanie: aforyzm Wojciecha Bartoszewskiego.

ROZWIĄZANIE: KŁAMSTWO TO CZĘSTO CAŁA PRAWDA O NAS.

eprasa.pl 951eddf438

PIŁKA NOŻNA

Urban został już osądzony. Czy piłkarze wybronią selekcjonera?

Adam Godlewski

Przed nami rewanż z Rumunią w Lidze Narodów. W październiku w Warszawie Biało-Czerwoni złoili gościom skórę aż 6:0, warto jednak pamiętać, że rywale na Stadionie Narodowym musieli już od 24. minuty grać w dziesiątkę. Początek sobotniego meczu w Bukareszcie zaplanowano na godz. 20.45.



FOT. SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS

Lista problemów i wątpliwości, z którymi sztab Jana Urbana musiał zmierzyć się przed wylotem do Bukaresztu, jest bardzo długa

To będzie 38. potyczka rumuńsko-polska. Lepszym bilansem w datowanej już od ponad stu lat rywalizacji mogą pochwalić się przeciwnicy. Gospodarze najbliższego spotkania odnieśli dotąd 14 zwycięstw, podczas gdy Biało-Czerwoni tylko 8. Znacznie lepiej z naszej perspektywy wygląda natomiast statystyka meczów o punkty. Dotychczas było takich tylko 5, spośród których 3 wygrała nasza drużyna. I warto dodać, że w trzech wspomnianych zwycięskich starciach Robert Lewandowski strzelił aż 8 goli: 5 weliminacjach MŚ i 3 w Lidze Narodów.

Niewątpliwie zatem kapitan reprezentacji Polski ma patent na Rumunów. Pytanie jednak, czy napastnik Chicago Fire zagra w Bukareszcie od pierwszej minuty, jest bardzo zasadne. Na poprzednim zgrupowaniu, kilka dni po przylocie z USA, zmagał się jeszcze przecież z jet lagiem. I, po prawdzie, w rywalizacji z Bośniakami przez większość z 87 minut spędzonych na boisku jedynie snuł się po placu gry. Czy zatem sztab kadry zaryzykuje „powtórkę z rozrywki", nawet mając świadomość tego, z jaką łatwością Robert wbijał dotąd gole sobotnim rywalom?

A znalezienie optymalnej roli – nawet jeśli wydaje się nią ta dżokera – dla „Lewego" wcale nie wyczerpuje listy problemów i wątpliwości, z jakimi przed wylotem do Bukaresztu musiał zmierzyć się selekcjoner.

Nasza linia defensywna w kadencji Urbana solidnie prezentowała się tylko do połowy listopada ubiegłego roku. Potem zanotowaliśmy zaskakujący regres w grze w destrukcji, którego skutki odczuwamy także w bieżącej Lidze Narodów – w dwóch wyjazdowych meczach obecnej edycji Biało-Czerwoni stracili przecież aż 4 gole. I widoków na poprawę nie ma. Nie dość bowiem, że w bramce wystąpi golkiper bez reprezentacyjnego doświadczenia (niezależnie od tego, na kogo Urban ostatecznie postawi), dodatkowo Jan Bednarek – lider obrony, choć często krytykowany – w Bukareszcie musi pauzować za kartki.

Na domiar złego z problemami zdrowotnymi zmagali się już podczas zgrupowania w Warszawie Przemysław Frankowski, Piotr Zieliński oraz Marcel Reguła. A przecież rozgrywający Interu Mediolan to nie tylko wicekapitan naszej drużyny narodowej, ale i – choć także często krytykowany – kierownik naszej drugiej linii.

Jeśli do tego dodamy, że Urban musiał mierzyć się ze zmasowanym atakiem medialnym – jak się wydaje, inspirowanym również przez źródła z.. PZPN – to nikt nie powinien mieć wątpliwości, iż jest bliżej dymisji niż kiedykolwiek. A nie brakowało i takich przecieków, że to już przesądzone... Urban jest zatem jak saper: już nie ma marginesu na pomyłkę.

Owszem, to twardy gość, olbrzymią presją znosi z pewnością lepiej od poprzednika, ale na dziś może liczyć wyłącznie na piłkarzy, którym zaufał, wysyłając powołania. Bo tylko zawodnicy są w stanie wybronić trenerowi posadę – dwoma, najlepiej efektownymi – zwycięstwami w LN. Deklaracje w tej sprawie już padły, ale decydująca będzie postawa graczy – i skuteczność! – na boisku...

PIŁKA NOŻNA

Duże obawy rumuńskich władz przed przyjazdem polskich kibiców

Bartosz Głąb

W sobotni wieczór reprezentacja Polski zagra w Bukareszcie z Rumunią w meczu 5. kolejki fazy grupowej Ligi Narodów UEFA. Tego samego dnia w stolicy miała odbyć się polityczna manifestacja w okolicy Pałacu Parlamentu, jednak w obawie przed licznym przyjazdem polskich kibiców władze nie wyraziły na nią zgody.

Po raz ostatni Biało-Czerwoni grali na wyjeździe z Rumunią w listopadzie 2016 roku w eliminacjach MŚ 2018. Wtedy zarówno przed meczem, jak i już na stadionie było gorąco. Bilans wykazał, że do komisariatów doprowadzono 12 polskich i 5 rumuńskich kibiców, odnotowując szereg wykroczeń i przestępstw.

I właśnie mając w pamięci tamte wydarzenia, władze z obawami oczekują na mecz z Polską w Lidze Narodów. Jak podają rumuńskie media, na stadionie w Bukareszcie mają zjawić się nawet 3 tysiące polskich fanów, co zdeterminowało zaangażowanie licznych oddziałów lokalnych służb.

Z tego też względu nie wyrażono zgody na manifestację poparcia dla Calina Georgescu, promowaną między innymi przez partię AUR. Wniosek został złożony przez dwie osoby fizyczne, które zadeklarowały szacowaną liczbę na – zaledwie – 50 uczestników. Jednak decydenci uznali, że rzeczywista frekwencja mogłaby być znacznie wyższa, co znacząco utrudniłoby właściwe zabezpieczenie obu wydarzeń.

Przypomnijmy, że na początku października Polska mierzyła się z Rumunią na stadionie PGE Narodowy w Warszawie. Wtedy liczna grupa rumuńskich fanów pojawiła się w nadkomplecie w przeznaczonym dla nich sektorze. Ponadto pod koniec meczu zaprezentowali transparent z hasłem: „Polska – Serce Europy". Niewykluczone, że mimo obaw rumuńskich władz, sobotnie spotkanie w Bukareszcie przebiegnie również w spokojnej atmosferze na trybunach.



FOT. SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS

Robert Lewandowski doskonale wie nie tylko to, jak strzelać gole Rumunom, ale i jak „gorąco" bywa na stadionie w Bukareszcie

PIŁKA NOŻNA

Pietuszewski na liście Bayernu. A Anglicy chcą skosztować Mazurka

Jakub Jabłoński

Oskar Pietuszewski i Bartosz Mazurek to dwa największe obecnie polskie talenty. Jednego już latem chciał wykupić za rekordowe pieniądze Bayern Monachium, a po drugiego ustawiła się kolejka z Anglii.

Bayern gotowy był aktywować klauzulę Pietuszewskiego (60 mln euro) z FC Porto już w letnim oknie transferowym. Rozmowy na temat transakcji miały być bardzo zaawansowane, i tylko – jak poinformował serwis Meczyki.pl. – kontuzja 18-letniego skrzydłowego spowodowała zawieszenie negocjacji w tamtym momencie.

Pietuszewski stracił z powodu wspomnianego urazu również pierwsze mecze nowego sezonu, a dopiero teraz zaczyna dostawać minuty w FC Porto. Do tej pory zagrał w 4 meczach, w których strzelił 1 gola. Z powodu drobnej niedyspozycji selekcjoner Jan Urban nie powołał go na listopadowe zgrupowanie przed meczami z Rumunią i Szwecją. Co z transferem do Bayernu? Temat ma być nadal aktualny!

Gdyby Pietuszewskiemu nie przeszkodziła kontuzja, zostałby już najdroższym polskim piłkarzem w historii. Obecnie to miano – najdrożej sprzedanego – dzierży Robert Lewandowski, który za 45 mln euro (plus bonusy) przeniósł się z Bayernu do Barcelony. Na drugim miejscu plasuje się zaś Krzysztof Piątek (35 mln euro), gdy zamieniał Genoę na Milan.

Bartosz Mazurek ubiegłego lata ruszył w podbój piłkarskiej Europy. RB Salzburg zapłaciło Jagiellonii Białystok za młodego piłkarza około 6 mln euro. Wydaje się, że szybko ta inwestycja może się zwrócić i to ze sporą nawiązką.

Dobre występy 19-latka w lidze austriackiej oraz Lidze Europy sprawiły bowiem, że zainteresowanie nim jest coraz większe. Kilka dni temu okazało się, że Crystal Palace już oferuje za polskiego zawodnika astronomiczną kwotę 30 mln euro.

Teraz do grona zainteresowanych angażem Mazurka dołączył inny przedstawiciel angielskiej Premier League. Angielskie media wskazały, że na swej liście życzeń młodego Polaka ma również Brighton & Hove Albion, w którym jeszcze nie tak dawno swoich sił próbowali Jakub Moder, Kacper Kozłowski czy Michał Karbownik.

Szkoda tylko, że wszyscy wyżej wymienieni gracze zostali negatywnie zweryfikowani przez klub, który – skądinąd – jest chwalony za kapitalną organizację i pomysł na rozwój...

eprasa.pl 951eddf438